

JERZY STRZELCZYK
Poznań

NAUKA HISTORII NA POCZĄTKU XXI WIEKU

ESEJ

Wiek XIX zyskał miano „wieku historii”. Miano to zupełnie zasłużone, ponieważ – po pierwsze – zostały w nim położone trwałe naukowe podstawy nauki o dziejach, a po drugie – nigdy, ani wcześniej, ani później nauka historii nie odgrywała tak znacznej roli społecznej w naszym, właśnie wtedy gwałtownie ekspandującym na kuli ziemskiej, kręgu cywilizacyjnym. Pojawiły się, działały, tworzyły w różnych krajach wielkie osobowości naukowe, których dorobek i wzór nie utraciły znaczenia do dzisiaj, a ich osiągnięcia, spisywane najczęściej ręką, zdobywane za pomocą najbardziej elementarnych środków, bez reprografii, mikrofilmów, baz komputerowych i Internetu, budzą – a przynajmniej powinny budzić – podziw także u progu XXI w. Wyłoniły się dwa zasadnicze stanowiska związane z nazwiskami wielkich historyków niemieckich: Leopolda von Ranke (około 1830 r.) i Johanna Gustava Droysena (1857 r.), które w różnych konfiguracjach i z różnym rozłożeniem akcentów towarzyszą odtąd dylematom historyków. Stanowisko pierwsze można z grubsza scharakteryzować następująco: poznanie historyczne jest (a przynajmniej powinno być) poznanie faktycznym (*wie es eigentlich gewesen* – „jak to naprawdę było”). Przedmiotem poznania jest sama rzeczywistość przeszłość. Poznanie ma charakter stopniowy: „całe” dzieje poznaje się poprzez rozpoznawanie ich części. Stanowisko drugie, przeciwstawne, głosi: poznanie historyczne to konstrukt myślowy, co prawda opierający się empirycznie na materiale historycznym. Przedmiotem poznania są zatem nie same „dzieje” (te bowiem są poznaniu niedostępne), lecz właśnie ów materiał historyczny. Poznanie to nie jakieś „odbicie”, czy „rekonstrukcja” przeszłości, lecz jej „reprezentacja”, konstrukcja obrazu. Konsekwencje tych stanowisk są następujące: z jednej strony – poznanie rzeczywistości minionej, budowanie całości z części, wypieranie subiektywności, idea postępu w historii, czasowe uwarunkowania w procesie poznania wprawdzie nie są do uniknięcia, ale są odczuwane negatywnie jako obciążenie, „religia historyczna”. Z drugiej strony: poznanie jako empiryczny, oparty na materiale historycznym konstrukt myślowy, subiektywność i historyczność poznania.

Niniejszy esej nie rości sobie pretensji do pogłębionej analizy problemu zasygnalizowanego tytułem. Problem to bardzo rozległy, „wielobarwny” i skomplikowany. Szczególnie dobitnie trzeba zaznaczyć, że – doceniając w pełni wagę zagadnienia – w znikomym jedynie stopniu zamierzam zająć się teoretycznymi problemami nauki historycznej. Choć także w Polsce doczekały się w ostatnich dekadach wzmożonej uwagi, to ze strony teoretyków nie brak opinii, że nauka polska opornie jedynie i z opóźnieniem recypuje odnośny dorobek nauki światowej¹, a ze strony historyków-praktyków ciągle podnoszą się głosy o – delikatnie rzecz ujmując – ograniczonej przydatności teoretycznych rozważań. Nie ukrywam również, że przyjęte pole obserwacji będzie dość ograniczone. Ze względu na zakres własnych kompetencji będę się w stopniu dalekim od proporcjonalności koncentrował na problematyce mediewistycznej.

HISTORYK W GAŚCZU INFORMACJI

Wiek XXI z pewnością nie będzie „wiekiem historii”, choć pozornie obecna sytuacja nauki historii wygląda nadzwyczaj pomyślnie. Nigdy dotąd nie było tylu „zawodowych” historyków jak obecnie. Studia historyczne co roku kończą tysiące historyków, choćby tylko ich część mogła bądź chciała pracować zgodnie z wykształceniem. Co prawda, sytuacja zawodowa historyków (podobnie jak i przedstawicieli innych zawodów humanistycznych) w Polsce jest trudno porównywalna z innymi krajami (gdzie można znaleźć kilkudziesięciosobowe instytuty i katedry historyczne?) i można ją oceniać jedynie w szerokim kontekście polskiego systemu akademickiego. Pewnych jednak rysów ogólniejszych można się dopatrzeć.

Bezprzykładowemu rozrostowi liczby profesjonalnych i nieprofesjonalnych historyków towarzyszyć musi lawinowo rosnąca, często po prostu, mimo wszelkich baz danych i innych systemów informacyjnych niemożliwa do ogarnięcia, liczba publikacji naukowych, popularnonaukowych i paranaukowych. Mimo płytkości polskiego rynku czytelniczego istnieje znaczna liczba wydawnictw specjalizujących się w publikacjach o charakterze historycznym, bądź przynajmniej w poważnym stopniu uwzględniających problematykę historyczną. Nie sposób je tutaj wymienić, raczej w charakterze przykładu można wskazać warszawskie oficyny Semper, DiG, Neriton, Trio, krakowskie Universitas, Avalon, Historia Iagellonica, WAM, nie mówiąc już o tym, że także „tradycyjne” wydawnictwa, choć niekiedy w zmienionej strukturze, jak Państwowe Wydawnictwo Naukowe czy Wydawnictwo Poznańskie,

¹ Zob. programowy artykuł czołowej przedstawicielki nowych trendów w historiografii polskiej, Ewy Domańskiej, *Wiedza o przeszłości – perspektywy na przyszłość*, „Kwartalnik Historyczny” nr 2, 120, 2013, s. 221-274, który zainspirował część poniższych wywodów i niejako reprezentuje bujnie rozwijające się piśmiennictwo teoretyczno-metodologiczne, po którego ważniejszych i nowszych manifestacjach może służyć także jako przewodnik.

nadal mają znaczące zasługi w publikowaniu książek i periodyków historycznych. Co więcej, powstają coraz to nowe inicjatywy wydawnicze specjalizujące się w książce historycznej, dość wymienić wrocławski *Chronicon* czy *Templum* w Wodzisławiu Śląskim, a zatem w ośrodku dalekim od akademickiej rangi. Dodać należy, że książki o profilu historycznym ukazują się w licznych (a liczba ich wydaje się stale rosnać) wydawnictwach poszczególnych uczelni, a nawet instytutów uczelnianych i Polskiej Akademii Nauk, towarzystw naukowych (jak zwłaszcza Polska Akademia Umiejętności czy Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk) oraz instytucji kościelnych różnych wyznań, ze zrozumiałych względów głównie Kościoła katolickiego (diecezje, zakony). Osobną grupę stanowią bardzo liczne publikacje wydawnictw o charakterze zdecydowanie regionalnym, reprezentujące oczywiście różny poziom naukowy, ale niekiedy mogące pod tym względem śmiało konkurować z wydawnictwami ogólnopolskimi. Dość wymienić, znowu tytułem przykładu, „*Kronikę Miasta Poznania*”, „*Studia Płockie*” czy „*Przegląd Zachodniopomorski*”.

Praktycznie niemożliwa do ogarnięcia jest mnogość periodyków historycznych. Oprócz najbardziej szacownych i cenionych, z „*Kwartalnikiem Historycznym*”, „*Przeglądem Historycznym*”, (poznańskimi) „*Rocznikami Historycznymi*”, „*Acta Poloniae Historica*”, „*Quaestiones Mediae Aevi Novae*”, „*Studiami Źródłoznawczymi*”, „*Kwartalnikiem Historii Kultury Materialnej*”, „*Kwartalnikiem Historii Nauki i Techniki*”, (toruńskimi) „*Zapiskami Historycznymi*”, (wrocławską) „*Sobótka*”, (krakowskimi) „*Studiami Historycznymi i Naszą Przyszłością*”, „*Rocznikami Dziejów Społecznych i Gospodarczych*”, „*Dziejami Najnowszymi*” na czele, istnieje znaczna liczba periodyków (bądź do nich zbliżonych) wydawnictw seryjnych o charakterze wyłącznie lub w znacznej mierze historycznym, o zasięgu ogólnokrajowym lub regionalnym.

Nie brak głosów, że czasopism i wydawnictw do nich zbliżonych jest po prostu w Polsce zbyt wiele. Stojące za tym ambicje partykularne, same w sobie godne pochwały, mogą jednak prowadzić i chyba prowadzą do zaniżenia poziomu, nie mówiąc już o tym, że stanowią niekiedy konkurencję dla tytułów ważnych i wiodących. Niewiele będzie można na to poradzić, dopóki istnieć będzie wielce dyskusyjny system parametryzacji i formalnych wymogów ilościowych dotyczących publikacji przy ocenach i awansach adeptów nauki i kategoryzacji jednostek naukowych.

Osobnym problemem dotyczącym całego obszaru nauki, ale szczególnie istotnym i drażliwym w odniesieniu do nauk humanistycznych i społecznych, jest postępujący – aż do zaniku – uwiad rzetelnej krytyki naukowej. Przyczyny tego stanu rzeczy, w ogólnych zarysach znane, są zbyt głębokie i różnorodne, by można się tu nimi zająć. Kto wie, czy nie najmniej ważną przyczyną atrofii krytyki naukowej w Polsce jest jej znikoma skuteczność tak z punktu widzenia krytykowanymi, jak również wydawnictw i instytucji finansujących publikacje.

Już w czasach PRL, zwłaszcza począwszy od lat 70., mocną stroną polskiej polityki kulturalnej, w naszym przypadku – historycznej, była znaczna liczba i na ogół wysoka jakość przekładów z języków obcych, choć oczywiście sterowana ideologicznymi odgórnymi wymogami i ograniczeniami. Podobnie jak ciężące na wszelkich dziedzinach życia intelektualnego jarzmo cenzury, ograniczenia w dostępie (także poprzez tłumaczenia) do myśli zagranicznej bardziej dotkliwe były, co rozumiało, w odniesieniu do prac i interpretacji dotyczących dziejów nowożytnych i najnowszych (praktycznie i w stopniu narastającym – dwóch ostatnich stuleci). Mniej „wrażliwe” ideologicznie dawniejsze epoki były obiektem zainteresowań cenzorów w stopniu znikomym. O ile nauka polska może się poszczycić znaczną liczbą książek historycznych przetłumaczonych na nasz język, przede wszystkim, choć nie wyłącznie, z języków kongresowych, to jej „pięta achillesowa” była i jest do dzisiaj niewielka zdolność przebicia się jej osiągnięć na forum międzynarodowym. Jest to przede wszystkim skutkiem niezajomości języka polskiego poza Polską, zbyt skromnych i nieśmiałych zabiegów z naszej strony o publikowanie w językach obcych, ale także niewielkiego zainteresowania nauki obcej i obcych wydawnictw nauką polską. Tylko w jakiejś mierze da się to wyjaśnić zwyczajną ignorancją czy intelektualną arogancją, niechęcią do ryzyka wydawania prac mało na Zachodzie znanych autorów. Bardziej, jak się wydaje, ograniczoną atrakcyjnością przeważającej w Polsce problematyki partykularnej, nie mówiąc już o tym, że niewielu polskich autorów chciało czy potrafiło pisać w preferowany przez wydawnictwa zachodnie sposób atrakcyjny dla szerszego odbiorcy. Wystarczy przejść się po księgarniach, by stwierdzić, że nawet w zakresie problematyki mocno przecież obecnej w Polsce, jak np. historia II wojny światowej, stalinizm czy dzieje i zagłada Żydów, dominują i epatują kolorowymi okładkami dzieła autorów obcych, zwłaszcza angloamerykańskich.

Nie będzie przesadą obserwacja, że książki historyczne, nie tylko te dotyczące historii najnowszej i „sensacyjnej”, niezależnie od tego, czy autorów polskich czy obcych, ciągle cieszą się w Polsce sporą popularnością. Pozostaje, oczywiście, problem ich jakości. Jest ona, jak dobrze wiemy, bardzo zróżnicowana. Obok prac ściśle naukowych, których recepcja z natury rzeczy musi być ograniczona, i rzetelnych prac popularyzacyjnych, nietrudno znaleźć w księgarniach i bibliotekach prace o wątpliwej jakości, niekiedy wręcz paranaukowe i szarlatanckie. Nikt nie może wydawcom odmówić prawa do publikowania takich pozycji, które mogą przynieść zysk, trudno byłoby także postulować powrót cenzury. Dobitnie widać jednak potrzebę rzetelnej krytyki i jej skuteczności, a także dostępności, tak żeby potencjalny czytelnik miał szansę przynajmniej skonfrontować interesujące go dzieło z obiektywną informacją o nim. Może jeszcze ważniejszy byłby postulat pod adresem profesjonalnych historyków, by nie zostawiali pola popularyzacji osobom niepowołanym.

Niełatwym do jednoznacznej oceny, stosunkowo nowym zjawiskiem występującym nie tylko w nauce polskiej, jest mnogość konferencji, sympozjów i kongresów

naukowych, co może nawet dziwić w dobie powszechności internetu i – ogólniej – łatwości porozumiewania się niewymagającego osobistego kontaktu. Przynajmniej w warunkach polskich wiąże się to ze zmieniającymi się zasadami finansowania nauki, zwłaszcza humanistyki, polegającymi na odchodzeniu od finansowania „podmiotowego” do „przedmiotowego”, innymi słowy – na upowszechnianiu się systemu grantów badawczych, które z wolna stają się podstawowym źródłem finansowania nauki. Jeżeli nawet idea grantów jest godna uwagi, tym bardziej że nie wydaje się możliwa droga odwrotu, i jeżeli pominiemy rozliczne trudności (subiektywnej i obiektywnej natury) związane z procedurami ich przyznawania i kontroli uzyskanych rezultatów, trudno nie zauważyć skutków negatywnych. Do nich zaliczam coraz bardziej komplikujący się los i niepewność ważnych długoterminowych (bądź bezterminowych), niekiedy podstawowych dla dyscypliny, a nawet dla kultury narodowej, przedsięwzięć naukowych, takich jak np. Bibliografia Polska, Biblioteka Narodowa, Słownik Historyczno-Geograficzny Ziemi Polskich czy Polski Słownik Biograficzny, a także ucieczkę od badań trudniej poddających się preferencjom i procedurom grantowym. Jeden z uczonych niemieckich, prawda że ze starszego pokolenia, stwierdził kiedyś sarkastycznie, że powstaje w Niemczech „nowe plemię” (*Neustamm*) uczonych zaangażowanych przede wszystkim w zdobywanie i realizowanie wysoko dotowanych projektów dotyczących tamtejszych problemów węzłowych (*Forschungsschwerpunkte*). Nie ulega wątpliwości, że także w Polsce pojawiają się symptomy takiej postawy, zwłaszcza wśród młodszego pokolenia, co wszakże ma swoje wytłumaczenie w malejących szansach debiutu i „normalnego” rozwoju naukowego.

Można i należy przeciwstawiać się zakusom pozanaukowej instrumentalizacji nauki historycznej, ale sprawa jest trudna, jako że historia była, jest i zapewne pozostanie szczególnie podatna na manipulacje. W przeciwieństwie na przykład do nauk ścisłych i eksperymentalnych, jest „łatwa” i (jeżeli pominiemy rozważania na wyższym stopniu teoretycznym) na ogół zrozumiała dla niehistoryka. Nie chciałbym się w ograniczonych ramach niniejszego eseju rozwodzić na temat pozapoznawczych zastosowań historii, która nie tylko na etapie dawno już oficjalnie przezwyciężonej „historiografii pragmatycznej” miała na sztandarach doniosłe cele wychowawcze, ideologiczne, polityczne lub społeczne i cele te starała się z różnym powodzeniem osiągać. Jest oczywiste, że historyk, jako dziecko swoich czasów, podlegał i podlega ciśnieniu rzeczywistości i że obraz przeszłości, jaki sobie wytworzy, będzie w jakimś stopniu od tego ciśnienia zależny, ale to nie znaczy, że powinien naciskowi teraźniejszości ulegać bezrefleksyjnie. Starożytna zasada *sine ira et studio*, choćby nie dawała się w pełni zrealizować, powinna w umyśle i działalności historyka być zawsze obecna.

O intelektualną uczciwość badawczą nie zawsze jest łatwo, zwłaszcza wtedy, gdy polityka i kierownictwo nauki zbyt natarczywie domagają się trybutu historyków. Przerabialiśmy to wielokrotnie, poczynając od pierwszego kronikarza dziejów Polski – tzw. Galla Anonima na początku XII w., który swoje dzieło napisał

ku czci i dla apologii księcia Bolesława Krzywoustego, określając zarazem, ale i deformując obraz najwcześniejszych dziejów państwa polskiego przekazywany potomności (właściwie aż do dzisiaj). Dalej, poprzez historiografię sarmatyzmu, romantyczną wizję dziejów, jej pozytywistyczną krytykę, gloryfikację narodu i państwa polskiego w XIX i XX w., próby w znacznym stopniu narzuconej odgórnie reinterpretacji w duchu marksistowskim, aż po dokonującą się na naszych oczach ponowną reinterpretację „optymistyczną” nawiązującą jednostronnie i niekrytycznie do „chlubnych”, nie zawsze racjonalnie uzasadnionych tradycji patriotyzmu, bohaterstwa, parlamentaryzmu, tolerancji i wolności szlacheckiej.

Obecne powodzenie pojęcia państwowej polityki historycznej i różne przejawy jej realizowania może i powinny cieszyć historyków, bez których żadnej „polityki historycznej” rzecz jasna nie da się prowadzić. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że zbyt dotkliwie wprzęgnięcie nauki w rydwan bieżącej (w końcu zmiennej) polityki rządzących na dłuższą metę ją wyjałowi, a może nawet skompromitować. Decydentów nie interesują bowiem metodologiczne czy metodyczne dylematy historyków, lecz wyłącznie „produkt” ich badań. Wiadomo, że z przeszłości, jak gdyby z nieogarnionej rekwizytorni teatralnej, każdy może brać to, co uważa za potrzebne bądź prawdziwe. Nie chciałbym demonizować ani z góry negatywnie oceniać instytucję, ale prawdą jest, że taka właśnie zasada, a właściwie brak sprecyzowanych i sprawdzalnych zasad, charakteryzuje działalność niektórych historyków z Instytutu Pamięci Narodowej. Oczekiwany od nich „produkt” polega, na co wielokrotnie zwracano uwagę, na pracowitym wydobywaniu trudnego z reguły do weryfikacji i wielce jednostronnego materiału archiwalnego mającego zdemaskować, bądź – rzadziej – usprawiedliwić poczynania postaci z coraz bardziej odsuwającej się w czasie niedawnej epoki, niestety, przy niedostatku poczucia konieczności krytyki tego materiału. Nie tylko z moralnego czy politycznego, lecz także z metodycznego, wymaganego na ogół w nauce historycznej, punktu widzenia tego typu badania są trudne do uzasadnienia, a nawet kompromitują naukę historyczną.

Doraźność i dyskusyjność celów polskiej polityki historycznej przejawia się także, na co zwrócił niedawno trafnie uwagę Marcin Wodziński², na oferowanym społeczeństwu dotkliwym spłaszczeniu i zawężeniu perspektywy historycznej, ograniczającej się do historii Polski wieku XX (i to nie od jego początku), tak jakby to co było wcześniej i bez bezpośredniego związku z dziejami polskimi było nieważne i nieinteresujące. Wodziński wymienia i opisuje „siedem grzechów głównych” tak pojętej polityki historycznej realizowanej kosztem polskiej pamięci historycznej, są to: naiwność, zaściankowość, selektywność, tabloizacja, oswojenie, arogancja, zinstrumentalizowanie.

² M. Wodziński, *Choroba krótkiej pamięci*, „Polityka” nr 17, 2014, s. 64-66.

NA PRZEKÓR POKUSIE „ZWROTÓW” I „PRZEŁOMÓW”

Kto wie jednak, czy większym, bo nie zawsze oczywistym, a znajdującym coraz powszechniejsze uznanie wielu badaczy, tym bardziej że mogącym się powołać na modne i efektowne trendy we współczesnej nam humanistyce, zagrożeniem dla nauki historycznej jest zakwestionowanie, a przynajmniej zrelatywizowanie jej poznawczej prawomocności.

„Nauka jest jednym z wielu sposobów zdobywania i organizacji wiedzy i jak się wskazuje – wcale nie najlepszym”. „Rozważając w perspektywie przyszłościowej i w odniesieniu do zachodzących w świecie zmian, które mają wpływ na losy planety i zamieszkujących ją gatunków, miejsce i rolę historii jako specyficznego podejścia do przeszłości wyrosłego w łonie europejskiej kultury grecko-judeochrześcijańskiej, szybko można zauważyć, jak utarte na ten temat przekonania zaczynają się komplikować, a kondycja historii jawi się w innym świetle”. „Jak protokoły historii dyscyplinarnej mogą poradzić sobie z innymi sposobami uobecniania i przeżywania przeszłości charakterystycznymi na przykład dla kultur polinezyjskich czy australijskich Aborygenów, takich jak taniec czy rytuał?”³.

Tym wszystkim „pozanaukowym”, także religijnym, sposobom pojmowania czy tłumaczenia rzeczywistości należy się ze strony nauki szacunek, uznanie ich jednak za równoprawne z nauką, a tym bardziej za przewyższające ją sposoby poznania czy opanowania rzeczywistości, wydaje się tezą tyleż efektywną, co karkołomną.

Niejednokrotnie przywoływana powyżej rozprawa Ewy Domańskiej przybliżyła polskiemu czytelnikowi, nie tak bardzo obznajomionemu z najnowszymi tendencjami i teoriami w historiografii, szerzej – w humanistyce światowej, dynamikę w tym zakresie. Dynamika ta z jednej strony zapiera dech, z drugiej jednak strony przyjrzenie się jej wskazuje, że znaczna część inwencji twórczej teoretyków i krytyków prowadzi do wniosków wątpliwych lub dość banalnych, albo nader ogólnych, niewiele mogących mieć wspólnego z praktyką badawczą nawet najbardziej otwartego na nowoczesne intelektualne impulsy historyka. Inflacja ogłaszanych w ostatnich dekadach „zwrotów” czy „przełomów” w historiografii⁴, oraz szybkie dezaktualizowanie się niektórych z nich, muszą skłaniać do refleksji krytycznej. Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że niejeden „zwrot” okazał się intelektualnie płodny, ale ich mnogość może nasuwać podejrzenie, że swoista „moda” na proklamowanie kolejnych przełomów wywołana została zrozumiałą, choć nie zawsze wystarczająco uzasadnioną, niecierpliwością czy przekorą badawczą zwłaszcza młodszych uczonych pragnących zaistnieć na forum publicznym i międzynarodowym. Trudno zresztą nie dostrzec, że pewna część awangardowych

³ E. Domańska, *op. cit.*, s. 225-226 i 227, gdzie przytacza opinię zwolennika teorii postkolonialnej: „czy istnieje jakakolwiek przyczyna, by utrzymywać epistemiczne uprzedmiotowienie nowożytnej historiografii i traktować ją jako ważniejszą od tak zwanego mitu, legendy czy marzenia?”.

⁴ E. Domańska, *op. cit.*, s. 231 nn.

„zwrotów” nawiązuje, czy pragnie głębiej teoretycznie uzasadnić zjawiska od dawna dostrzegane i badane w „tradycyjnej” historiografii. Zresztą, jak przyznaje Domańska,

„Nadal podstawą pracy historyka są rzetelne badania źródłowe, na których opierają się badania konkretnych wydarzeń, procesów i problemów. W istocie, w obecnie prowadzonych dyskusjach porusza się kwestie redyscyplinizacji historii i kładzie się wyraźny nacisk na profesjonalizm pracy badawczej, krytykę źródła, znajomość metodyki pracy archiwalnej, dyscyplinarną erudycję, co manifestuje zwrot archiwalny i zwrot empiryczny. [...] Historycy zajmujący się historią starożytnej Mezopotamii, szesnastowiecznej Francji czy historią PRL-u nie mają powodów do obaw. Nikt nie będzie ich przekonywał, że ich zainteresowania są nie na czasie, a podejście pozytywistyczne. Nie ma też sensu, by dzielić dzisiaj historyków na tradycyjnych i awangardowych. Należałoby raczej mówić o historykach dobrych i złych, tj. przestrzegających zasad profesjonalnego prowadzenia badań historycznych lub nie. A tych można łatwo rozpoznać, szacując bazę źródłową, na której się opierają, przeprowadzoną krytykę źródeł, metody badań oraz manifestującą się w przywoływanych pracach erudycję. Nie chodzi też o 'uświadamianie' badaczy. Historycy wiedzą, co robią, i nikt nie musi ich pouczać, jak badać przeszłość. Historia stała się dyscypliną gościnną, otwartą i przyjazną dla wszelkich tematów i ujęć pod warunkiem, że badania prowadzi się zgodnie z wymogami rzemiosła, znajomością odpowiednich źródeł, literatury i metod”⁵.

CZAS NIEOGRANICZONYCH MOŻLIWOŚCI?

Niełatwo określić aktualny stan polskiej, a chociażby poznańskiej, nauki historycznej na początku XXI w. Bezprzykładny wzrost kadr zawodowych historyków, nowe możliwości heurystyczne, związane z zastosowaniem komputerów, łatwość kontaktów międzyśrodowiskowych i międzynarodowych, z tym związane upowszechnienie znajomości języków obcych, zwłaszcza angielskiego... – oto niektóre z atutów aktualnej sytuacji polskiego historyka. Pomijając historię najnowszą, coraz częściej nie musi on już w ogóle ślęczeć w archiwach i bibliotekach, jako że coraz więcej źródeł, a nawet opracowań naukowych, w zdigitalizowanej postaci dostępnych jest w Internecie. Zamiast mozolnego eksцерpowania i notowania może korzystać z nowoczesnych metod reprografii, inteligentne programy komputerowe pozwalają w mgnieniu oka wyszukiwać potrzebne dane bibliograficzne czy leksykograficzne. W kilka minut, a nawet sekund, możliwe jest nawiązanie internetowego kontaktu z partnerem, czy nawet równocześnie z wieloma partnerami, na całej kuli ziemskiej.

Nic dziwnego, że liczba publikowanych (ciągle jeszcze przeważnie w tradycyjnej drukowanej formie, choć tendencja do publikowania wirtualnego, w sieci, stopniowo się upowszechnia i prawdopodobnie w niezbyt odległej przyszłości usunie druk w cień) książek, artykułów, recenzji i innych form naukowych wypowiedzi rośnie niepowstrzymanie. Ukazująca się regularnie i w miarę szybko

⁵ *Op. cit.*, s. 272.

bieżąca *Bibliografia Historii Polski*, mimo widocznych starań o niezbędną selekcję materiału, w pełni potwierdza zjawisko mnożenia publikacji, w dodatku nie obejmuje w zasadzie prac polskich autorów nie dotyczących historii Polski. Już tylko starsze pokolenie pamięta o kłopotach i „wąskich gardłach” ruchu wydawniczego w PRL, o niedoborze papieru i „mocy przerobowych” drukarni, przede wszystkim zaś o nierównej walce autorów i wydawnictw z urzędową cenzurą, która wymuszała stosowanie się do obowiązujących wytycznych i eliminowała treści z nimi niezgodne bądź w jakikolwiek sposób „niebezpieczne” dla systemu. Teraz cenzury urzędowej i prewencyjnej od dawna nie ma, co nie oznacza, że twórczość badawcza historyków jest wolna od quasi-cenzuralnych ograniczeń. Pewną pociechą mogłaby być refleksja, że tak było zawsze. Niezręcznie byłoby w okresie II Rzeczypospolitej, po odzyskaniu niepodległości, pisać o postawach lojalistycznych i kolaboranckich wobec państw zaborczych (pomnik sławiący pamięć generałów polskich, którzy odmówili przyłączenia się do antycarskiego powstania 1830 r. i zginęli z ręki powstańców, został w wolnej Polsce zburzony), o klasowym ruchu robotniczym, o prześladowaniach Cerkwi prawosławnej, o dążeniach emancypacyjnych ludności ukraińskiej i białoruskiej, o licznych dezercjach z armii polskiej w trakcie wojny z Rosją Radziecką 1920 r. i ich represjonowaniu, o losie jeńców radzieckich w Polsce... W Polsce Ludowej, zwłaszcza w okresie przemożnego wpływu stalinizmu (1948-1955), nastąpiła, częściowo wymuszona, częściowo jednak obiektywnie uzasadniona, daleko idąca zmiana paradygmatów badawczych. Dominujące uprzednio historia polityczna, badania nad elitami społecznymi, genealogia, historia Kościoła katolickiego znalazły się w ogniu krytyki i utraciły swe znaczenie w całokształcie nauki, a nawet bywały celowo eliminowane. Wysoką rangę zyskała historia gospodarcza i – nie bez ideologicznych ograniczeń – społeczna, dzieje ruchu robotniczego, zwłaszcza jego rewolucyjnego nurtu, i walk klasowych. „Wschodni aspekt” dziejów Polski został w pełni przyporządkowany wymogom politycznym. Problematyka dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej – niemal wymazana z pamięci historycznej narodu (co – jak się później miało okazać – było nadzwyczaj nieskuteczne), o Katyniu, jak wiadomo, w ogóle nie było mowy, jeżeli zaś już, to jako o zbrodni hitlerowskiej. Stosunki polsko-niemieckie przedstawiane miały być, stosownie do tytułu powstałej w latach II wojny światowej, (opublikowanej już w 1945 r.) monografii Zygmunta Wojciechowskiego, jako „dziesięć wieków zmagania”, a niemiecki charakter ziem w 1945 r. do Polski przyłączonych („odzyskanych”) był negowany bądź przemilczany. Powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej wprawdzie ten czarno-biały obraz skomplikowało, ale go nie odmieniło. Antyniemieckość, po przeżyciach II połowy XIX w., zwłaszcza zaś po traumatycznych przeżyciach pierwszej połowy wieku XX, charakteryzowała postawy i poglądy zdecydowanej większości narodu polskiego i stanowiła jeden z niewielu elementów komunistycznej polityki historycznej z nimi zbieżnej.

Udział Armii Krajowej i innych lojalnych wobec rządu londyńskiego ugrupowań w walce z Niemcami był w PRL minimalizowany i przedstawiany

tendencyjnie, ale po 1989 r., w ramach zrozumiałej reakcji na komunistyczną wykładnię dziejów, obserwujemy niemal idealne odwrócenie obrazu. Teraz minimalizuje się, nie stroniąc od zniekształcenia prawdy dziejowej, rolę i znaczenie Gwardii i Armii Ludowej oraz Ludowego Wojska Polskiego. Znalazło to dobitny wyraz w inskrypcjach przy warszawskim Grobie Nieznanego Żołnierza. Nie tylko z nazw ulic miast polskich, ale także z opracowań historycznych, z oczywistą tendencją do wyrugowania z pamięci historycznej Polaków, zniknęły nazwiska i dokonania rewolucjonistów (takich jak Ludwik Waryński) i działaczy lewicowych. W miejsce często tendencyjnie antykościelnych i „demaskatorskich” opracowań dotyczących Kościoła, szeroką falą napływają prace o charakterze obiektywnym, wyrównujące wieloletnie zaniedbania w tej dziedzinie, ale także prace jawnie apologetyczne, dalekie od rzetelności naukowej.

Osobnym rozdziałem w dziejach polityki historycznej w Polsce, którego jednak w tym miejscu nie chciałbym omawiać, jest kwestia żydowska, szczególnie podatna w przeszłości na mistyfikację czy zakłamanie i dopiero dosłownie w ostatnich latach wznoszona (nie bez oporów) na poziom osiągalnej bezstronności naukowej.

O TRUDNOŚCIACH WARSZTATU NIE TYLKO MEDIEWISTY

Do bezspornych osiągnięć polskiej nauki historycznej należy z pewnością zaliczyć zmniejszanie się stopnia jej partykularyzmu. Oczywiście, główny wysiłek badawczy skierowany jest, i powinien być nadal skierowany, na dzieje ojczyste. Ich wyświechtanie i należyte prezentowanie pozostaje głównym zadaniem polskiej historiografii. To, że następują przesunięcia punktów ciężkości zainteresowań badawczych historyków, jest rzeczą oczywistą, nieuniknioną, do pewnego stopnia także pożądaną. Niekiedy jednak powoduje to skutki niekoniecznie pozytywne. Objęcie badaniami skomplikowanych i w okresie PRL dyskryminowanych dziejów polskich kresów wschodnich idzie w parze z wyraźnym ochłodzeniem badań nad „zachodnim”, niemieckim aspektem historii Polski. Badania nad elitami społeczeństwa polskiego, zaniedbane przed 1989 r., zepchnęły w cień, niemal wręcz w niebyt, badania nad warstwami pracującymi, nie mówiąc już o tendencjach i ruchach kontestacyjnych. Wystarczy przypomnieć niemal zupełny brak naukowego echa na jubileusz wydarzenia tak doniosłego, także z punktu widzenia historii Polski, jakim była setna rocznica rewolucji 1905-1907 r. Szerokiemu zasięgowi obchodów 150-lecia powstania styczniowego towarzyszyła niemal zupełna medialna cisza na temat przypadającej równocześnie analogicznej rocznicy uwłaszczenia chłopów w Królestwie Polskim. Należy mieć nadzieję, że po przewyciężeniu „szoku wolności” i zrozumiałej reakcji na wypaczenia i jednostronności minionej doby, nadejdzie czas na bardziej wyważone i sprawiedliwsze rozłożenie preferencji badawczych.

Wspomniane przełamywanie etnocentrycznego partykularyzmu, stymulowane wzmożeniem kontaktów z nauką światową (choć nie bez żalu trzeba stwierdzić, że zjawisko to nie objęło nauki radzieckiej/rosyjskiej i krajów byłego ZSRR, a przynajmniej objęło ją w znacznie skromniejszym stopniu), wyraża się, po pierwsze, w tendencji do porównawczego bądź łącznego traktowania dziejów Polski i innych krajów, a nie w izolacji od nich, po drugie zaś w samodzielnych badaniach dziejów innych krajów i ludów, w obrębie naszego, jak również innych kręgów kulturowych. Musimy ograniczyć się do kilku uwag na ten temat. Aczkolwiek reprezentuję pogląd o jedności historii Polski i powszechnej, to znaczy, że historię Polski należy ujmować i badać jako część historii powszechnej, dostrzegam jednak praktyczną i dydaktyczną użyteczność tradycyjnego podziału na te dwa wielkie działy. Historia powszechna z polskiego punktu widzenia jest przede wszystkim historią naszego europejskiego kręgu cywilizacyjnego, choć do niej się nie ogranicza. Z natury rzeczy historią powszechną są dzieje świata starożytnego – Bliskiego Wschodu (Egipt, Mezopotamia, Palestyna), Grecji i Rzymu, a także ich kontynuacja – Cesarstwa Bizantyńskiego. W tych dziedzinach dorobek nauki polskiej, także poznańskiej, jest znaczący. Istnieje wiele polskich opracowań monograficznych i syntetycznych dotyczących świata starożytnego, z pracami Józefa Wolskiego i Adama Ziółkowskiego na czele. Na uwagę zasługuje znana seria wydawana przez wiele lat przez Ossolineum obejmująca prezentacje dziejów różnych państw europejskich i pozaeuropejskich (np. Chiny, Wietnam, Brazylia) pióra polskich autorów, oraz seria Państwowego Wydawnictwa Naukowego publikująca przekłady podobnych opracowań pióra autorów obcych. Pojęcie „historia powszechna” nie jest zresztą jednoznaczne. W praktyce zalicza się do niej np. prace z pogranicza dziejów Polski i innych krajów (np. „stosunki polsko-francuskie...”), jak również prace dotyczące dziejów poszczególnych krajów i państw obcych; stosunkowo rzadziej pojawiają się oryginalne prace dotyczące rzeczywiście powszechnej, ponadregionalnej problematyki historycznej. Duże zasługi dla poszerzenia horyzontu czytelnika polskiego miał Państwowy Instytut Wydawniczy z poczytną serią „ceramowską”⁶, głównie przekładów, poświęconą najrozmaitszym ludom i cywilizacjom europejskim i pozaeuropejskim. Inny i ograniczony do wczesnych dziejów Europy charakter ma ukazująca się obecnie dzięki Wydawnictwu Naukowemu PWN (następca Państwowego Wydawnictwa Naukowego) seria „Korzenie Europy”. Ossolineum i Państwowy Instytut Wydawniczy przez wiele lat wydawały także biografie wybitnych postaci (nie tylko władców) polskich i zagranicznych. Obecnie działalność tego typu prowadzą Wydawnictwo Poznańskie i nowo powstałe oficyny wydawnicze, m.in. warszawskie Trio czy krakowski Avalon.

⁶ Nazwa od inaugurującej cykl głośnej książki C.W. Cerama, *Bogowie, groby i uczeni*.

Wobec postępującego (nawet w środowiskach fachowych) zjawiska zaniku znajomości języków klasycznych, zwłaszcza w warunkach polskich ważnej łaciny, a także mimo wszystko często niełatwego dostępu do tekstów oryginalnych, coraz większe znaczenie ma udostępnianie ważnych tekstów historycznych w polskich przekładach. Sytuacja pod tym względem systematycznie się poprawia, chociaż nie można powiedzieć, żeby była idealna, inicjatywy translatorskie są bowiem rozproszone, często przypadkowe, a jakość przekładów jest bardzo nierówna. Dziedziny uprzywilejowanymi jest piśmiennictwo starożytnej Grecji i Rzymu, w mniejszym stopniu Bizancjum, a także – co jest skutkiem aktywności uczonych tak czy inaczej związanych z Kościołem – okres patrystyczny (Ojców Kościoła, czyli pierwszych wieków chrześcijaństwa) oraz teologia i filozofia, w mniejszym stopniu hagiografia) wieków średnich. Nawet w zakresie dawnej historiografii europejskiej, a zatem dziedziny – wydawałoby się – najbardziej interesującej historyków, utrzymują się uporczywe luki; dość wspomnieć, że nie wszystkie kroniki polskiego średniowiecza doczekały się przekładów na język polski. Jeżeli zaś chodzi o inne obszary średniowiecznego piśmiennictwa (może z częściowym wyjątkiem piśmiennictwa skandynawskiego i arabskiego), czytelnik polski dysponuje wprawdzie dość licznymi, ale raczej przypadkowo dobranymi i różnej wartości przekładami. Przekładów zabytków doby nowożytnej i najnowszej nie da się ogarnąć. Obok merytorycznej wartości przekładanych dzieł często motywem sprawczym są walory formalne czy estetyczne dzieła. Każdy historyk jednak chyba bez trudu mógłby wskazać utrzymujące się „białe plamy” w tej dziedzinie.

Licząc się z tym, że nie wszystkim czytelnikom „Przeglądu Zachodniego” dylematy historyka-mediewisty są bliżej znane, pragnąłbym w dalszym ciągu niniejszego eseju przedstawić niektóre problemy badań mediewistycznych, zaczynając od przeszkód i ograniczeń w poznawaniu dziejów wieków średnich⁷. Jest ich niemało i są poważne. Warto może przypomnieć i to, że badając dzieje średniowiecza, mediewista jest na ogół mentalnie bardziej suwerenny niż historyk dziejów najnowszych, nie ciąży bowiem na nim aż tak bardzo jarzmo pozanaukowych, politycznych i pozapolitycznych uwarunkowań i serwitutów. Nie musi też na ogół – odmiennie niż jego kolega-nowożytnik, ślęczyć tyle w archiwach, uginać się pod nieprzebranym mnóstwem materiału źródłowego, który trzeba odkurzyć, przejrzeć, wyselekcjonować, a dopiero potem ocenić i opracować. Żeby uciec się do efektownej metafory Wiktora Wernera⁸, w mniejszym stopniu niż nowożytnikowi grozi mu stanie się „mrówką”, natomiast bliżej mu do „pająka”.

⁷ Powtarzam tutaj (z drugorzędnymi modyfikacjami) część wywodów z opublikowanego wykładu pt. *Średniowiecze – Jakże? Jak?*, IH UAM, Poznań 2009.

⁸ W. Werner, *Historyk w powodzi danych. O chaotyczności współczesnej historiografii*, w: *Badacze przeszłości wobec wyzwań XIX-XXI w.*, K. Błachowska, Z. Romek, M. Wolniewicz (red.), Warszawa 2013, s. 339-347.

Mediewista musi się zmierzyć ze zgoła innym problemem: niedoboru, a niekiedy wręcz po prostu braku źródeł. Przypomnijmy, nie siląc się na tym miejscu na teoretyczne subtelnosci: źródło historyczne to jest to wszystko, z czego historyk może czerpać wiedzę o badanych czasach minionych. Jest to pojęcie – na szczęście – bardzo pojemne, a zarazem elastyczne, ulega poszerzeniu w miarę postępu badań. Na razie zatrzymajmy się na jednej, przyznajemy: także dla historyka wieków średnich najważniejszej kategorii źródeł: źródłach pisanych.

Mediewiści przywykli do narzekania na brak, skąpość i przypadkowość źródeł pisanych będących do ich dyspozycji. Chociaż niekiedy takie narzekania mogą wynikać z niepełnej świadomości, niekiedy także ze zwykłego lenistwa, nie są one, ogólnie rzecz biorąc, pozbawione podstaw. Rzeczywiście, podstawa źródłowa do poznawania dziejów średniowiecznych nie jest zbyt korzystna, źródeł najczęściej jest rzeczywiście zbyt mało i nie zawsze są one takie, jak byśmy sobie życzyli.

Źródeł jest mało... Nietrudno to zrozumieć. Nośnikami informacji w przypadku źródeł pisanych były i są najczęściej materiały nietrwałe: papirus, pergamin, papier, tabliczki woskowe, kora brzoźowa...⁹ Im więcej czasu upływa od chwili ich wytworzenia, tym mniejsze szanse „przeżycia” mają źródła pisane. Proces deterioracji, czy wręcz destrukcji źródeł trwa i trwa – mimo różnorodnych zabiegów konserwatorskich i organizacyjnych w czasach nam bliższych – niepowstrzymanie, a straty nim spowodowane są niekiedy niepowetowane. Papirus – materiał najbardziej rozpowszechniony w starożytności i używany jeszcze tu i ówdzie we wczesnym średniowieczu – jest z natury rzeczy nietrwały i może się przez wieki zachować jedynie w szczególnie sprzyjających warunkach, takich jak klimatyzowane pomieszczenia muzealne lub gorące i suche piaski Egiptu, Palestyny i Syrii. Co dopiero mówić o tekstach zapisanych na korze brzoźowej czy na tabliczkach woskowych? – dziwić się raczej należy, że mimo wszystko jakaś ich część się w ogóle zachowała. Papier nie należy do materiałów trwałych. Na szerszą skalę pojawił się zresztą dopiero w późniejszych fazach średniowiecza, co prawda trzeba przyznać, że był on wtedy w lepszym gatunku i znacznie trwalszy niż przemysłowo wytwarzany papier, np. gazetowy w XIX i XX w. Od papirusu i papieru o wiele trwalszy jest pergamin, ale ten był od tamtych znacznie droższy i rzadszy. Jeżeli już był używany, to do lepszych celów: pisywano na nim teksty święte, kroniki i uroczyste dokumenty. Teksty na nim pisane, najczęściej starannie przechowywane, miały większą szansę przetrwać wieki i dotrzeć do naszych czasów.

O jednym jeszcze warto pamiętać: w średniowieczu (podobnie jak we wcześniejszych epokach), aż do wynalezienia druku w XV w., znaczna część wytwarzanych tekstów miała charakter unikalny. Istniała tylko w jednym egzemplarzu, jeżeli zatem ten egzemplarz uległ z jakiegoś powodu zniszczeniu, było to

⁹ Historykom przyszłości pozostawimy troskę o trwałość i operatywność coraz bardziej charakterystycznych w naszych czasach nośników elektronicznych.

równoznaczne z bezpowrotną utratą tekstu. Wiadomo o wielu, niekiedy ważnych zapisach, które w taki właśnie sposób zaginęły, dobrze jeszcze, jeżeli zachowały się (w pismach innych autorów) ich fragmenty, bądź przynajmniej jakieś wzmianki, świadczące o ich istnieniu i treści. Istnieje, co prawda, grupa tekstów pisanych, których szansa przetrwania była szczególnie duża. To zabytki epigraficzne – inskrypcje umieszczane na materiale twardym (kamień, metal), np. na monetach, nagrobkach, pomnikach, w sposób zamierzony przez twórców, albo niezamierzony – np. w postaci graffiti, gryzmołonych (tak jak obecnie!) na ścianach i innych miejscach (jak na przykład na egipskich piramidach), niekiedy zgoła frywolnej, niekiedy zaś, np. na ścianach cel więziennych, tragicznej treści, także przez średniowiecznych turystów. Odrebną, ogromnej wagi, zbliżoną do epigrafiki dziedziną są teksty na wypalanych tabliczkach glinianych – jedno z głównych źródeł do dziejów starożytnej Mezopotamii.

Zasób średniowiecznego piśmiennictwa – potencjalnego źródła historycznego – ulega redukcji nie tylko z przyczyn „obiektywnych”, niezależnych lub w niewielkim tylko stopniu zależnych od człowieka, takich jak butwienie, rozpadanie się (nawet badacz wieków XIX i XX z tym zjawiskiem z pewnością się spotka, np. próbując wertować ówczesne zbiory archiwalne i biblioteczne), czy szkody uczynione przez drobnoustroje lub gryznie (wszak są to najczęściej materiały pochodzenia organicznego), lecz także subiektywnych – zawinionych przez człowieka. Wina może polegać na zaniedbaniach, niezapewnieniu źródłom odpowiednich warunków do przetrwania, nieuchronieniu ich przed wypadkami losowymi, takimi jak powódzie czy pożary, wreszcie przed kradzieżą. Może także, niestety, wynikać z aktywnych działań – wojny, rewolucje, radykalne zmiany stosunków własności... Przykład Polski niejednego ostatniego stulecia jest tutaj bardzo pouczający i... odstrasżający.

Z drugiej strony znany i możliwy do wykorzystania zasób źródeł może ulegać, i rzeczywiście, często ulega powiększeniu. Niekiedy nawet dochodzi do odkryć sensacyjnych, mogących powodować znaczące zmiany w postrzeganej rzeczywistości dziejowej. Dokonuje się ich jak gdyby przypadkowo, częściej jednak odkrycia są rezultatem mrówczych, długotrwałych, mniej lub bardziej zaplanowanych poszukiwań w kurzu bibliotek, archiwów czy zbiorów prywatnych. Odkrycia komunikuje się społeczności uczonych na łamach prasy fachowej, ostatnio coraz częściej w Internecie, w specjalnych inwentarzach, katalogach, w uzasadnionych przypadkach w postaci najdogodniejszej dla uczonych – mianowicie edycji źródeł (w przypadkach najważniejszych nawet w postaci reprodukcji fotograficznej). Zdarzają się odkrycia wywołujące szerszy odzew społeczny (dość przypomnieć odkrycie tzw. *Ewangelii Judasza* czy *Pamiętników Anny Frank*). Niestety – w pogoni za rozgłosem niektórzy nie wahają się przed ogłaszaniem falsyfikatów w rodzaju rzekomych pamiętników Hitlera.

Na szczęście dalecy jesteśmy od dogłębnego poznania zasobów bibliotecznych i archiwów europejskich (nie tylko zresztą europejskich, sporo bowiem zabytków,

także piśmiennictwa, w różny sposób znalazło drogę za Ocean, zwłaszcza do USA). Tym bardziej dotyczy to rozmaitych zbiorów prywatnych, których udostępnienie, a nawet o których poinformowanie, zależy od dobrej woli właściciela. Przyzwyczajonym do (względego i bezwzględnego) ubóstwa zasobów polskich (przynajmniej jeżeli chodzi o średniowiecze), trudno nam pojąć ogrom zasobów archiwalnych i bibliotecznych w takiej np. oszczędzonej przez wojny Wielkiej Brytanii, ale także w takich krajach jak Francja, Italia czy Hiszpania. Zresztą także w Polsce dalecy jesteśmy od rzeczywistego ogarnięcia zachowanego materiału źródłowego pochodzącego ze średniowiecza, także jego starszych faz, nie mówiąc już o późnym średniowieczu. Aczkolwiek na jakieś zapierające dech nowe odkrycia dotyczące wcześniejszego średniowiecza specjalnie liczyć już chyba nie można (uwaga ta dotyczy, choć z mniejszą pewnością, także zbiorów zagranicznych), choć nikt również nie mógłby ich kategorycznie wykluczyć, wiadomo na pewno, że ogromna, trudna nawet do oszacowania liczba nieznanych dotąd tekstów średniowiecznych czeka na odkrywców. Gdy jako przykład weźmiemy dokument średniowieczny, a zatem jedną z głównych kategorii źródeł do tej epoki, to choć wprawdzie w oryginale zachowała się ich tylko pewna część (zresztą nawet w tym zakresie możliwe są nowe odkrycia), zdecydowana natomiast większość przetrwała i cierpliwie czeka na odkrycie w księgach sądowych (grodzkich i ziemskich), jakie setkami i tysiącami, mimo wszelkich strat wojennych i nie tylko wojennych, zalegają półki archiwów państwowych. Rzadko sięgają one czasem powstania wieków średnich, ale nawet w księgach późniejszych (nawet z XVIII w.!) historycy znajdują wiele średniowiecznych dokumentów, które dla bezpieczeństwa były wpisywane (oblatowane) do ksiąg i tylko w ten sposób przetrwały do naszych czasów. To tylko jeden przykład. A oto i drugi. Po wielu uczonych i szperaczach zachowały się materiały pracownice zbierane za życia, w tym odpisy źródeł, na jakie natrafiali. Wydawały im się ważne, więc odpisywali je lub kazali odpisywać (kopiowania mechanicznego jeszcze nie było). Wartość takich wypisów wzrasta niepomiaralnie wtedy, gdy oryginały, z jakich korzystali, zginęły, zaginęły lub z jakichś względów są dziś niedostępne.

To normalna, typowa droga powiększania zasobu źródeł do dziejów średniowiecza. A oto dwie, może nie tak typowe, ale charakterystyczne, a zarazem mające wyraźny posmak sensacji. Wspomniałem już, że typowy dla wieków średnich materiał pisarski, jakim był pergamin (zwłaszcza jego co bardziej luksusowe odmiany) musiał być i był stosunkowo drogi. Trzeba było go oszczędzać. Zdarzało się, że zdecydowano się powtórnie go wykorzystać. Wyskrobywano więc pierwotny tekst, który dla dysponenta nie miał już wartości, i wpisywano tekst nowy, aktualny. Taką kartę, zwój czy całą księgę nazywamy palimpsestem. Zdarzały się palimpsesty wielokrotne. Rzecz w tym, że tekst pierwotny, starty lub zeszkrobany, niekiedy nawet gołym okiem przeświecający pod nowym tekstem, daje się, przy zastosowaniu nowoczesnych technik odczytać i to w sposób nieniszczący tekstu wierzchniego (co dawniej, gdy stosowano chemiczne detergenty, niestety, nieraz się

zdarzało). W taki sposób nauce przysporzono niejednego tekstu dotąd nieznanego lub znanego niedokładnie. Niepotrzebnym kartom czy całym kodeksom przytrafiało się, i to nierzadko, także coś innego. Gdy średniowieczni (lub późniejsi) oszczędni introligatorzy próbowali naprawiać nadal potrzebne, a w jakiś sposób zniszczone księgi (mogły to być księgi rękopiśmienne lub druki), lubili wykorzystywać w tym celu „makulaturę”, to znaczy zbędne (w ich mniemaniu) karty pergaminowe, używając ich np. do podklejania naddartych kart lub wypełniania i usztywniania okładek. Inna rzecz, że często musieli uciekać się do kawałkowania materiału. W wielu księgach zachowały się i są wydobywane na światło dzienne, zwłaszcza przy nowoczesnych zabiegach konserwatorskich i introligatorskich, ważne teksty w ten sposób obcesowo niegdyś potraktowane. Przynajmniej w ten sposób przetrwały do dzisiaj, a nie zostały bezpowrotnie utracone.

Każdy wie, jak cennym i praktycznie niewyczerpywalnym źródłem informacji historycznych są napisy na tabliczkach glinianych ze starożytnej Mezopotamii. To samo można powiedzieć o ciągle odkrywanych pojedynczych papirusach bądź całych ich zbiorach w piaskach i jaskiniach Egiptu, Palestyny i Syrii. W latach 50. i 60. XX w. sensacją naukową stały się odkrywane w różnych miejscach północnej części europejskiej Rosji „gramoty” na korze brzozej. Wcześniej, bo pod koniec XIX w., w kairskiej genizie, to znaczy po prostu rupieciarni przy jednej z synagog w Starym Kairze, gdzie składowano bezużyteczne już przedmioty kultu, odnaleziono ogromny, liczący około 200 000 tekstów zbiór starych pism żydowskich, w bardzo różnym, przeważnie szczątkowym stanie zachowania. Dotyczą one najprzeróżniejszych spraw, głównie religijnych i kultowych, przeważają teksty i komentarze do Biblii i Talmudu, opinie prawne, występują także listy, dokumenty i teksty liturgiczne, a nawet fragmenty poezji. Niestety, cenny ten zbiór rychło uległ rozproszению. Jego poszczególne fragmenty można dziś znaleźć w różnych bibliotekach Europy i Ameryki. Mimo dziesięcioleci badań tylko niewielka część pierwotnego zasobu została dotąd opracowana i ogłoszona drukiem. Sięgając bardziej wstecz: począwszy od lat 70. XX w. zaczęły napływać i wzbogacać naszą wiedzę o dniu codziennym pewnej odległej rzymskiej prowincji niewielkie tabliczki drewniane zapisane atramentem. Odkryto ich dotąd ponad tysiąc, w różnym stopniu zachowania. Głównym miejscem znaleziska jest rzymska Vindolanda (obecnie Chesterholm) na zachód od Newcastle na północnej rubieży rzymskiej Brytanii, gdzie od II połowy I wieku n.e. stacjonowali rzymscy legionści.

PALIMPSEST HISTORII

Źródeł do dziejów średniowiecza jest niewiele nie tylko ze względu na niszczący „zab czasu” i częstą niedbałość bądź złą wolę ludzi. Bodaj jeszcze ważniejsza jest inna przyczyna, ta mianowicie, że średniowiecze niewiele ich – zwłaszcza w porównaniu z wiekami późniejszymi – wytworzyło. Wytworzyło zaś

niewiele, ponieważ ogromna (choć w miarę upływu czasu malejąca) większość ludzi żyjących w średniowieczu nie znała sztuki pisania i czytania, zupełnie dobrze się bez niej zresztą obywając. Inaczej mówiąc: stopień alfabetyzacji społeczeństwa był w średniowieczu (zwłaszcza w jego wcześniejszych fazach) bardzo niski. Przypomnijmy na marginesie, że powszechny obowiązek szkolny, który zjawisko analfabetyzmu przynajmniej w elementarnym zakresie w zasadzie zlikwidował, pojawił się w Europie, i to nie wszędzie od razu i z niemałymi oporami, dopiero w drugiej połowie XIX w. We wczesnym średniowieczu czytać i pisać umiała tylko bardzo wąska grupa duchownych. Ludzie świeccy, nie tylko z niskich warstw społecznych, pozostawali poza zasięgiem słowa pisanego, „w świecie kultury ustnej (oralnej)”. Dotyczy to nawet rycerstwa i arystokracji. Nawet monarchowie obywali się wtedy bez wspomnianych umiejętności, choć niekiedy doceniali rolę oświaty i kultury. Dopiero około XII w. sytuacja pod tym względem zaczynała się zmieniać. Feudałowie, przynajmniej niektórzy, później także mieszcianie, poczuli potrzebę wykształcenia. Wtedy też (ale dopiero wtedy!) pojawiło się złośliwe powiedzenie, iż niewykształcony król to jakby ukoronowany osioł (*rex illiteratus quasi asinus coronatus*).

Łatwo chyba zrozumieć, że niski stopień alfabetyzacji społeczeństwa nie sprzyjał „produkcji” piśmienniczej. Czytanie i pisanie były umiejętnościami rzadko spotykanymi i kosztownymi (same koszty pergaminu nie były bagatelne). Powodowało to, że jeżeli już z jakichś względów sięgano po pióro czy rysik, często używano takich materiałów jako wspomniane tabliczki woskowe i podobne, które jedynie wyjątkowo mogły zachować się do naszych czasów. Omówione tu okoliczności wpłynęły też na to, że wśród tekstów, jakie pozostawiło nam zwłaszcza wczesne średniowiecze, zdecydowaną przewagę ma piśmiennictwo o charakterze religijnym, poczynając od samego tekstu Pisma Świętego, pism Ojców Kościoła i wybitnych teologów, komentarzy do poszczególnych ksiąg Pisma (egzegeza biblijna), po żywoty, pasje (opisy męczeństwa) i *miracula* (relacje o cudach) świętych (hagiografia), kazania i zbiory kazań (homiletyka), traktaty przeciw heretykom, teksty liturgiczne itp. Tematyka świecka pojawiała się w piśmiennictwie tej epoki rzadko, jeżeli już, to najczęściej i ona była przepojona treściami religijnymi. Do głosu dochodziła, łamiąc stopniowo monopol duchowieństwa i twórczości religijnej, poczynając od XII w. Wtedy też zasób piśmiennictwa, w związku z odrodzeniem umysłowym („renesans XII w.”), w stosunku do wieków wcześniejszych niepomiernie się zwiększył. Przyczynił się do tego również awans języków „ludowych”, które stopniowo stawały się, obok łaciny, językami wypowiedzi literackiej. W dodatku twórczość religijna, sakralna, zwłaszcza tak „dostojne” jej działy jak teksty Pisma Świętego, Ojców Kościoła czy teksty liturgiczne, spisywane najczęściej na pergaminie wysokiej jakości, pięknym pismem, często z pięknymi barwnymi ilustracjami (miniaturami), była pieczołowicie przechowywana. Miała więc znacznie większe szanse dotrwania do naszych bądź nam nieodległych czasów, podczas gdy rozmaite teksty świeckiej natury, gdy tylko traciły dla właściciela praktyczne

znaczenie, często bywały po prostu niszczone, bądź – rzucone w ką – podlegały degradacji i w końcu także zniszczeniu.

Uogólniając: problem historyka-mediewisty polega nie tylko na tym, że ma źródeł za mało, lecz również na tym, że stopień reprezentatywności zachowanego i będącego do jego dyspozycji materiału źródłowego jest niemożliwy do określenia. Posłużmy się dwoma przykładami z naszego polskiego „podwórka”.

Gdyby ktoś zapragnął zbadać, jak przedstawiały się stosunki własnościowe na wsi polskiej w średniowieczu, to, po pierwsze – musiałyby pogodzić się z tym, że jakiegokolwiek poważniejsze (choć i tak długo jeszcze wyrwykowe) badania w tym zakresie możliwe są dopiero gdzieś od połowy XIII w. Wtedy bowiem na szerszą skalę pojawia się dokument pisany (uprzednio wszelkie transakcje najczęściej dokonywały się ustnie, nie pozostawiając żadnego śladu w źródłach). Badając więc zachowane dokumenty, musiałyby badacz dojść do wniosku, że ogromna większość ziemi znajdowała się wówczas w rękach Kościoła (biskupów, klasztorów, kapituł). Taki wniosek byłby jednak nieuzasadniony, nie ulega bowiem wątpliwości, że stan rzeczy przedstawiał się w późniejszym (tym bardziej jeszcze we wcześniejszym) średniowieczu zgoła inaczej. Zdecydowana większość ziemi uprawnej i użytków wiejskich znajdowała się w rękach indywidualnych właścicieli – rycerzy i chłopów, pewna część w rękę panującego, część zaś stosunkowo skromna (choć wykazująca z biegiem czasu tendencję wzrostową) – w rękach wspomnianych instytucji kościelnych. Zawiniła jednostronność podstawy źródłowej. Otóż jedynie instytucje kościelne dbały, w dobrze pojętym interesie własnym, o pisemne (w dokumencie) potwierdzenie swoich praw własnościowych. „Sektor świecki” o to jeszcze nie dbał, pamięć w rodach rycerskich, a nawet chłopskich, trwała dłużej, transakcje ziemią dokonywały się w obecności księcia (króla) i świadków, forma pisemna nie była konieczna ani pożądana. Oznacza to, że własność świecka wyjątkowo tylko pojawia się w źródłach, a jeżeli już się pojawia, to najczęściej w chwili, gdy z takich czy innych powodów zostaje, drogą nadania lub spadku, przeniesiona na rzecz Kościoła. Jeżeli ziemia pozostawała, jak to najczęściej bywało, w rękach rodu czy rodziny, i nie powstawały na tym tle jakieś spory, to nawet w ciągu trwania wielu pokoleń nie było po prostu potrzeby sporządzania jakichkolwiek dokumentów na piśmie. W rezultacie o tych sprawach wiemy żałośnie mało.

A oto drugi przykład. Jaki był skład narodowościowy mieszkańców dużych miast polskich, z Krakowem na czele, w późniejszym średniowieczu? Historiografia niemiecka widziała w nich najchętniej Niemców, których istotnie, poczynając od XII, a zwłaszcza XIII w., wielu osiedlało się w Polsce. Historiografia polska raczej skłonna była pomniejszać znaczenie i liczebność przybyszów. Wszelkie obliczenia w tym względzie możliwe są jedynie na podstawie ksiąg miejskich, o ile takie się dla późnego średniowiecza zachowały. Choć nie jest to kryterium zupełnie pewne, można „z grubsza” (zwłaszcza dla XIV w., później stanie się to bardziej problematyczne) sądzić o narodowości na podstawie nazwiska bądź niekiedy imienia mieszczanina. Otóż badając księgi miejskie Krakowa, Poznania, czy innych dużych

miast polskich, stwierdzamy, że imion i nazwisk o brzmieniu niemieckim jest znacznie więcej niż polskich, przeważają one zdecydowanie. Czy można by zatem na tej podstawie stwierdzić, że w miastach tych owej doby zdecydowanie przeważała ludność niemiecka (poprawniej: niemieckiego pochodzenia)? Wydaje się, że byłby to wniosek przedwczesny i chybiony. Bez porównania większe szanse trafić do ksiąg miejskich miały imiona górnych warstw ludności miast, zwłaszcza bogatego i wpływowego patrycjatu i części kupców, podczas gdy ludność „pospolita” – drobniejsi kupcy, sklepikarze, rzemieślnicy, plebs – mieli na to nikłe szanse, chyba że dopuszczali się przestępstw odnotowywanych w księgach. Wniosek o przewadze liczebnej Niemców mógłby zatem jedynie odnosić się do patrycjatu, nie zaś całej ludności miejskiej. Pomijam tę utrudniającą wnioskowanie na podstawie kryterium imion okoliczność, że znaczna część ludności w Polsce późnego średniowiecza nosiła imiona „ogólnochrześcijańskie”, nieupoważniające do jakichkolwiek wniosków o przynależności narodowej właścicieli.

ASYMETRIE POZNANIA

Stąd już tylko krok do ważnej konstatacji, iż dzieje średniowiecza (podobnie jak innych dawnych epok) są znane i rozpoznawalne w sposób nierównomierny. Niektóre dziedziny, okresy i obszary można, jeżeli tylko dopiszą chęci i umiejętności, poznać dość dokładnie. Pozostają jednak rozległe połacie pozostające bądź poza możliwościami poznawczymi mediewisty, bądź możliwe do poznania jedynie w stopniu ograniczonym. Jakie to dziedziny? Wymienię niektóre, bardziej, moim zdaniem, znaczące.

1. Są to przede wszystkim niektóre epoki. Przy ogólnej prawidłowości, że im bliżej naszych czasów, tym zasób źródeł się powiększa, zdarzają się wahnięcia i regresy. W historii Polski, dla przykładu, okres panowania dwóch pierwszych historycznych Piastów jest znany mimo wszystko znacznie lepiej niż reszta XI w. W 1018 r. bowiem zakończył pisanie swej kroniki biskup Thietmar z Merseburga i aż do początku XII w., czyli do powstania kroniki Anonima zwanego Gallem, istnieje luka historiograficzna, którą trudno wypełnić urywkami informacji innych, przygodnych bądź nadmiernie lakonicznych źródeł. Nic dziwnego, że postać i panowanie Bolesława II Szczodrego znane są gorzej niż wcześniejsze panowanie Bolesława I Chrobrego, nie znamy nawet imienia żony Szczodrego. Spoglądając zaś szerzej na dzieje Europy, znajdujemy dwa okresy szczególnego ubóstwa źródłowego. Pierwszy z nich to w przybliżeniu VII w., kiedy to ostatecznie zamarły resztki tradycyjnego szkolnictwa i oświaty typu antycznego. Drugi przypada na znaczną część X w., kiedy to dopaliło się ożywienie intelektualne zwane niekiedy „renesansem karolińskim”. W tym czasie Europa łacińska, trapiąca z wielu stron zagrożeniami zewnętrznymi (Normanów, Saracenów, Węgrów) i pogrążająca się w stanie rozprzężenia wewnętrznego, popadła również w stan swoistego letargu

intelektualnego, z którego zaczęła się mozolnie wydobywać (i to jedynie w części swego terytorium) za panowania dynastii ottońskiej w II połowie X w. Zauważmy, że ta druga zapaść intelektualna przypadła akurat na okres formowania się państwowości u Polan, a uzyskamy tym samym odpowiedź na nurtujące i martwiące wielu historyków pytanie: dlaczego tak niewiele Zachód interesował się i dlaczego tak niewiele wiedział o tym, co się aktualnie działo nad Wartą i Wisłą.

2. Jest to (nawiązuję do poprzednich uwag), ogólnie rzecz ujmując, sfera świecka, z umiarkowanym wyjątkiem dworów wybitnych i światłych władców (jak Karol Wielki, Alfred Wielki, Otton I Wielki, Henryk II angielski), niekiedy również najwyższej arystokracji. Można tę prawidłowość sformułować nieco aforystycznie: im dalej od dworów monarszych, pałaców biskupich i niektórych klasztorów, tym gorsza sytuacja badawcza dla historyka. W warunkach omówionej wyżej kultury oralnej, sama wysoka pozycja społeczna nie była jeszcze we wcześniejszym średniowieczu gwarancją „uwiecznienia” w źródłach. Nawet wielki i bogaty potentat, jeżeli siedział na prowincji i nie brał udziału w życiu politycznym, a także nie czynił nadań na rzecz Kościoła, mógł nie pozostawić po sobie żadnego śladu w źródłach i tym samym pozostaje nieuchwytny dla historyka.

3. Tym bardziej jaskrawo rysuje się nieobecność w źródłach szerokich warstw i nizin społecznych. Nie wytwarzały one jakichkolwiek źródeł, a w źródłach wytwarzanych przez warstwy uprzywilejowane i wykształcone występują, jeżeli w ogóle, często jakby w krzywym zwierciadle, jako przedmiot kpín, pogardy, niekiedy także skrywanego lęku. W praktyce badawczej można się niekiedy spotkać z paradoksami, na przykład takim, że bywa, iż w jakichś lokalnych układach, z takich czy innych przyczyn lepiej oświetlonych materiałem źródłowym, znane są postacie, a nawet imiona, ludności najniżej położonej w układach społecznych (np. niewolnej lub uzależnionej), podczas gdy o pospolitej ludności osobiście wolnej (chłopach, niekiedy także drobnym rycerstwie) informacji w ogóle brak. Wytłumaczeniem tego stanu rzeczy jest znowu wspomniana wyżej „kościelna” jednostronność podstawy źródłowej: niewolnicy i inne kategorie ludności poddańczej, stanowiący część majątku właściciela ziemskiego (zwłaszcza kościelnego), mieli większe szanse zaistnienia w źródłach niż ludność wolna, wyżej stojąca w społecznej hierarchii, ale pozostająca poza kręgiem zainteresowań autorów źródeł.

4. To samo można powiedzieć o przedstawicielach wszelkiego rodzaju ruchów i ugrupowań nieortodoksyjnych. Panująca ideologia skutecznie wytrącała im pióro z ręki, a to, co zdołało powstać, było eliminowane i ulegało *damnatio memoriae*, wymazaniu z pamięci. Tak było np. z pismami pogańskich polemistów z chrześcijanami w pierwszych stuleciach, herezjarchów wczesnego chrześcijaństwa (np. arian i nestorian) i późniejszej doby (np. katarów/albigensów). Ich pisma tylko przez przypadek i zupełnie wyjątkowo zdołały się zachować. Skutek jest taki, że poglądy „nieprawomyślnych” musimy poznawać najczęściej z pism ich chrześcijańskich i katolickich przeciwników. Jeszcze dobitniej opinia ta dotyczy religii

prymarnych, przedchrześcijańskich, a zatem społeczności na ogół nie dysponujących własną kulturą pisemną. W tym przypadku jesteśmy już w pełni zdani na relacje misjonarzy i chrystianizatorów¹⁰, tych spośród nich, którzy przynajmniej nie wzdragali się pisać o „diabelskich kultach” pogańskich. Sytuacja zmieni się dopiero w późnym średniowieczu, np. co się tyczy husytyzmu, jako rezultat postępującego procesu alfabetyzacji społeczeństw europejskich i gry różnych interesów sił politycznych.

5. Innym „wielkim niemową” średniowiecza są kobiety. Pomijając sytuacje wyjątkowe i nietypowe, średniowiecze (kontynuujące pod tym względem tradycje antyczne) było zdecydowanie patriarchalne. Kobietom wyznaczone były wąskie i ściśle określone role życiowe, w których wykształcenie i kultura najczęściej były zupełnie nieobecne. Trzeba było wyjątkowej osobowości i sprzyjających okoliczności, by kobieta we wczesnym średniowieczu zechciała i mogła przemawiać własnym głosem i utrwałać swój głos na piśmie, który by w dodatku przetrwał stulecia, dotarł do naszych czasów i ściągnął uwagę uczonych. Sytuacja zaczęła się zmieniać na korzyść kobiet od mniej więcej XII w., choć nie tylko do końca wieków średnich, ale znacznie dłużej głosy kobiet nikną w męskiej polifonii. Oznacza to, że o losach, dolach i niedolach, dążeniach, osiągnięciach i niepowodzeniach średniowiecznych pań dowiadujemy się najczęściej, wyłącznie lub przede wszystkim, z wypowiedzi spisanych przez mężczyzn i odzwierciedlających, rzecz jasna, przede wszystkim ich męski, jakże często kobietom nieprzychylny, niekiedy wręcz patologicznie wrogi punkt widzenia. Nauka w ostatnich dziesięcioleciach wprowadziła wiele uczyniła dla lepszego poznania dawnego „świata kobiet”, tej „milczącej połowy” średniowiecznego społeczeństwa, ale do tego wszelako, by świat ten w możliwie pełnym zakresie mógł przemówić własnym głosem, należy jeszcze włożyć wiele wysiłku. Znajdujemy się dopiero na początku tej drogi i wiele zostało jeszcze do odkrycia i zbadania. Na marginesie: jeżeli chodzi o stosunki polskie, to pierwsze znane nam, sporadyczne, dłuższe, autentyczne wypowiedzi kobiet pochodzą dopiero z II połowy XVII w.

6. Wreszcie kolejne, ostatnie już w naszym rejestrze, ograniczenie. Polega ono na tym, że w źródłach znajdujemy najczęściej (na szczęście nie wyłącznie) to, co w oczach autorów źródeł czy ich zleceniodawców, miało być „ważne”, „wybitne” bądź „nadzwyczajne”, a więc np. niezwykle czyny władców, krwawe wojny, zamachy, morderstwa, zdrady, cuda, anomalie pogodowe i różne wydarzenia nadprzyrodzone (bądź za takie uważane). „Codziennosc” pozostawała najczęściej poza horyzontem zainteresowań kronikarzy i autorów innych dzieł, widocznie spodziewane audytorium nie tego oczekiwało. Przykład: w narracyjnych źródłach średniowiecza, takich jak roczniki i kroniki, które stanowią przecież najchętniej przez historyków wykorzystywaną kategorię, zupełnie wyjątkowo

¹⁰ Nie licząc, oczywiście, innego rodzaju, niepisemnych informacji źródłowych, zwłaszcza archeologicznych, o których jeszcze będzie mowa.

jedynie znajdujemy napomknienia o wielkim paneuropejskim procesie kolonizacji wiejskiej i miejskiej XI-XIII w., który my skłonni jesteśmy uważać za kto wie czy nie najważniejsze i najbardziej doniosłe w skutkach zjawisko rozwiniętego średniowiecza. Była to jednak domena „plebejuszy”, na których arystokracja i pod jej auspicjami piszący autorzy nie zwracali uwagi. Gdyby nie wzrastająca masa źródeł typu dokumentowego, jaką wspomniane przemiany społeczno-gospodarcze wymogły, jak żałośnie mało wiedzielibyśmy o nich! Podobnie trudno byłoby oczekiwać, by jakiś kronikarz odnotował tak pozornie drobny, a jakże doniosły w skutkach wynalazek, jakim było chomąto końskie, ale z tego zarzutu wypadnie kronikarzy rozgrzeszyć, gdyż możliwość jego uchwycenia leżała już całkowicie poza ich horyzontami myślowymi (podobnie jak poza naszymi możliwościami).

BOGACTWO TREŚCI UKRYTEJ W ŹRÓDLACH

W świetle tego, co dotąd napisano, zwłaszcza zaś w ostatnim punkcie, trudno się dziwić, że tym, co najbardziej interesowało zwłaszcza starszą naukę historyczną, była historia polityczna, traktowana jako ciągi władców, dynastii, mariaży, sojuszów, wojen, rozejmów, pokojów, intryg pałacowych (te ostatnie, jak nietrudno się domyśleć, są z natury rzeczy trudne do uchwycenia). Po pierwsze – one właśnie są jeszcze najbardziej „konkretne” i uchwytne dla historyka, o nich bowiem przede wszystkim pisali annaliści i kronikarze, po wtóre zaś – są to, lub: wydaje się że są, sprawy szczególnie ważne i „malownicze”, przemawiają do wyobraźni, są często miłe sercu, utrwalają się w pamięci, dają się wykorzystać w różnych, dalekich od średniowiecza, sytuacjach, np. dla podniesienia „ducha narodu”, zdyskredytowania kogoś, czy wzmocnienia niechęci do sąsiada. Ale przecież nikt rozsądny nie będzie utrzymywał, że tak rozumiana historia polityczna to cała historia, albo chociaż jej część najważniejsza. Ktoś trafnie przyrównał historię polityczną do powierzchni jeziora – tylko ją na pierwszy rzut oka widać, ale nie widzi się tego, co w głębi, a co, być może, decyduje o stanie i wyglądzie tej powierzchni. Kto zapatrzy się bez reszty w dzieje polityczne, nawet te najbarwniejsze i bez wątpienia może nawet ważne, nie dostrzeże rozgrywających się „pod powierzchnią” żmudnych procesów średnio- i długofalowych (ot takich chociażby, jak niedawno wspomniana kolonizacja wiejska i miejska), nie dostrzeże charakteru i rytmu przemian podstawowych struktur społecznych, nie dowie się niczego o warunkach i zagrożeniach życia codziennego naszych przodków, nie znajdzie sposobu, by przynajmniej spróbować wniknąć w strefę ich myśli, pragnień i mentalności.

Możliwości pojedynczego badacza, nie mówiąc już o subiektywnych skłonnościach i preferencjach badawczych, są ograniczone. Postępuje więc w mediewistyce (podobnie jak w odniesieniu do innych epok historycznych) nieunikniona specjalizacja, niekiedy posunięta zbyt daleko. Wyłoniła się historia gospodarcza, historia społeczna, mocno trzyma się tradycyjna historia polityczna, historia religii, religij-

ności, oświaty i kultury, sztuki, literatury, prawa, mentalności, seksualności. Dążenia historyków zmierzają w różnych kierunkach, ale cel nadrzędny jest jeden. Chodzi o przełamanie (na tyle, na ile jest to możliwe) bariery milczenia, lakoniczności, fragmentaryczności i enigmatyczności źródeł, o znalezienie takich ich kategorii, które mogłyby pomóc wypełnić „białe plamy”, „zmusić” już znane źródła, by zechciały zdradzić więcej, niż udawało się odczytać dawniejszym badaczom. Oto niektóre drogi prowadzące, a przynajmniej mogące prowadzić do tego szczytnego celu:

1. Panuje zgoda co do tego, że źródło, zwłaszcza pisane i „intencjonalne”, to znaczy jak gdyby stworzone po to, by być źródłem historycznym (przykład: kronika), ma jak gdyby podwójne („Janusowe”) oblicze. Zawiera konkretny, zamierzony przez autora, przekaz. Może on być wiarygodny lub niewiarygodny – ustalenie tego jest właśnie zadaniem, nie zawsze wykonalnym, dla historyka. Źródło może być także autentyczne (gdy jest tym, za co się podaje) i nieautentyczne (gdy jest czymś innym, niż się podaje), nieautentyczne całkowicie (np. falsyfikat) lub częściowo. Ale wartość informacyjna źródła do tego się nie ogranicza. Źródło bowiem nie jest tylko „przekazem” – tym, co miało komunikować w zamierzeniu autora, lecz samo oprócz tego (niezależnie od tego, czy taka była intencja autora), jako wytwór danego miejsca i danego czasu, jest nośnikiem ważkich informacji, które niekiedy mogą mieć dla historyka większe znaczenie niż zawarty w nim przekaz.

Przykład: pierwszy rodzimego pochodzenia kronikarz polski, Mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem (druga połowa XII i początek XIII w.) jest autorem *Kroniki Polaków* w czterech księgach. Pierwsza księga zawiera znaną dość powszechnie nawet obecnie wizję najwcześniejszych, poprzedzających panowanie pierwszego „historycznego” władcy – Mieszka I, dziejów narodu i państwa polskiego. Czytamy u Kadłubka zatem m.in. o zwycięskich walkach naszych przodków, Lechitów, z wojskami Aleksandra Macedońskiego, później z Rzymianami, o smoku wawelskim, Kraku – założycielu Krakowa, królowej Wandzie, Lestku, który podstępem z kolcami wygrał wyścig i objął panowanie u Lechitów itd. O tym wszystkim niczego najwyraźniej nie wiedział poprzedni kronikarz, Anonim zwany Gallem (którego dzieło znane było Kadłubkowi), i w ogóle brak przed Kadłubkiem jakichkolwiek śladów wiedzy o tych wydarzeniach. Czy Kadłubek te i jeszcze inne wydarzenia opisane w I księdze kroniki sam sobie zmyślił, czy przejął z jakiejś skądinąd niepoświadczanej tradycji, czy – co może najbardziej prawdopodobne – pracowicie i pomysłowo utkał z różnego pochodzenia wątków i tradycji – nie jest w tej chwili najistotniejsze, choć było i jest przedmiotem niekończącej się dyskusji naukowej. Dla nas istotne jest to, że tradycja o najdawniejszych dziejach Polski przekazana przez Kadłubka jest niewiarygodna. Wydarzenia, o których mowa nie miały miejsca. A zatem – źródło bezwartościowe dla historyka? Pozornie tak, ale tylko pozornie. Niewiarygodny jest przekaz I księgi kroniki Kadłubka, ale mimo tego zachowuje on wielkie znaczenie poznawcze. Pytanie – do czego? Odpowiedź:

nie do poznania rzeczywistego procesu kształtowania się narodu i państwa polskiego, ale do tego, jak elity intelektualne w Polsce przełomu XII/XIII w. (których Kadłubek, biskup krakowski, był świetnym przedstawicielem) chciały widzieć początki Polski. Początki te musiały, w świetle średniowiecznych ideałów, sięgać możliwie głęboko w przeszłość. Powinny być jakoś powiązane z dziejami biblijnymi bądź świata antycznego, wykazywać, że nasi odlegli przodkowie tworzyli potężne państwo („imperium Lechitów”), niepodlegające żadnym obcym potęgom (zwłaszcza Rzymianom, do sukcesji po których, jak skądinąd wiadomo, pretendowali władcy niemieccy, interweniujący kilkakrotnie, np. w 1157 r., w sprawie rozbitej na dzielnice Polski), ba! nawet wobec nich zwycięskie. To, co u nas i dla nas uczynił Mistrz Wincenty, było w jego czasach (przypomnijmy: renesans XII w.!) zjawiskiem powszechnym. „Młode” narody europejskie gwałtownie szukały starożytnej legitymacji. Jednocześnie, i to byłby dodatkowy ważny aspekt, omawiana część kroniki Kadłubka stanowi wymowne źródło do poznania formacji intelektualnej autora i aspiracji intelektualnych elit polskich. Mistrz Wincenty daleki był od chęci powiadomienia nowożytnych historyków o tym wszystkim, ale historycy potrafili, jak widać, „zmusić” kronikę do wyjawienia aż tylu ważnych zagadnień, o których byśmy skądinąd nic nie wiedzieli.

A oto drugi przykład. Padło już wcześniej słowo „hagiografia”. Był to bardzo żywy w średniowieczu nurt piśmiennictwa, obejmujący różne gatunki, przede wszystkim żywoty świętych (*Vitae*), opisy ich męczeńskiej śmierci (*Passiones*) oraz tzw. *Miracula*, czyli „cuda”. W tej chwili interesuje nas tylko ten ostatni dział. *Miracula* to, jak sama nazwa sugeruje, opisy cudownych, nadprzyrodzonych wydarzeń, jakie miały się rozgrywać za sprawą danego świętego za jego życia, lub po śmierci. Jakie stanowisko wobec *miracula* powinien zająć historyk? Uznać ich wiarygodność, czy jej zaprzeczyć? Nie negując teoretycznej możliwości, że ten i ów „cud” (np. cudowne uzdrowienie) mógł rzeczywiście nastąpić (skoro nawet obecnie, jak się dowiadujemy przy okazji przeprowadzanych przez Stolicę Apostolską procesów kanonizacyjnych, ich nie brakuje), chyba każdy, kto miał okazję zapoznać się ze średniowiecznymi zbiorami cudów, pozostanie sceptyczny co do prawdziwości opisywanych w nich wydarzeń. Trudno się dziwić, że dziewiętnastowieczni uczeni i wydawcy średniowiecznych źródeł, często opuszczali opisy cudów lub wybierali z nich te, które ich zdaniem zawierać mogły jakiś „racjonalny” historyczny rdzeń. Tak jednak nie postępuje się w nowszej nauce historycznej. Nawet zachowując uzasadniony sceptycyzm co do wiarygodności *miracula*, czyli do intencjonalnego przekazu ich autorów, uznaje się je za niezastąpione i wiarygodne źródło do poznania mentalności i religijnych przeżyć ówczesnych ludzi.

2. O ciągle możliwych i rzeczywiście dokonujących się odkryciach nowych źródeł, a nawet całych ich kategorii, poszerzających wiedzę o przeszłości, była już mowa.

3. Postulatem powszechnie już obecnie uznawanym (a przynajmniej deklarowanym) jest wyjście poza krąg tradycyjnych źródeł pisanych. Aczkolwiek nie ulega

raczej wątpliwości, że w badaniu wieków średnich będzie im nadal przysługiwało pierwszeństwo, trudno obecnie już sobie wyobrazić nieuwzględnianie, zwłaszcza w odniesieniu do wczesnych faz średniowiecza, jak już wiemy – nad wyraz skąpo reprezentowanych w materiale źródłowym, innych kategorii źródeł. Na pierwszym miejscu w tym związku zwykle (i nie bez powodu) wymienia się źródła archeologiczne, to znaczy materialne (w potocznym znaczeniu tego słowa) pozostałości życia i działalności naszych przodków, ukryte albo na powierzchni ziemi albo pod jej powierzchnią, pozyskiwane bądź eksplorowane metodami rozwiniętymi przez archeologię. W odróżnieniu od zasobu źródeł pisanych, który dla pewnych okresów i obszarów (np. co się tyczy najwcześniejszych dziejów Polski) ma charakter zamknięty i trudno liczyć na jego wydatne poszerzenie, źródła archeologiczne mają charakter praktycznie nieograniczony, „skarbnica ziemi” jest bowiem – wydawałoby się – niewyczerpalna. W odniesieniu do najstarszych epok dziejów ludzkich, nie oświetlonych lub (później) w minimalnym jedynie stopniu oświetlonych źródłami pisаныmi, źródła archeologiczne są na ogół jedynym źródłem informacji dla historyka, który dzięki nim może próbować głębiej wniknąć w głąb „przedpiśmienych” dziejów społeczeństw ludzkich, niż to było możliwe dawniej, gdy naukowa archeologia znajdowała się w powijakach. Ale archeologia nie traci znaczenia również dla późniejszych epok, nawet tych dysponujących już niemałym zasobem źródeł pisanych¹¹. Pozwala ona niejako uzupełnić „arystokratyczną” perspektywę znacznej części źródeł pisanych poprzez umożliwienie badań nad „przyziemną”, materialną stroną życia ludzi średniowiecza (niekiedy również czasów późniejszych), także warstw nieuprzywilejowanych: narzędzi, uzbrojenia, mieszkań, ozdób, pożywienia czy obrzędów pogrzebowych, kultów religijnych (pozostałości świątyń, figurki kultowe) itp. Szczególną, a dla historyka doniosłą rolę odgrywają badania historyczno-architektoniczne nad ujawnionymi przez archeologów, często niewidocznymi już na powierzchni ziemi lub utajonymi pod późniejszymi budowlami, relikami dawnych budowli i konstrukcji (kościół, grody, domostwa) i urządzeń trwałych (np. wały obronne). Wypadnie wreszcie przypomnieć, że niekiedy archeologia ujawnia również nieznanne dotąd zabytki pisane, zapisane np. na tabliczkach glinianych czy woskowych, łupkach kamiennych albo na korze brzozej. Archeologia należy do dziedzin rozwijających się bardzo dynamicznie. Ciągłe jesteśmy zaskakiwani nowymi odkryciami, które niekiedy zmuszają do rewizji nawet najbardziej zdomowionych poglądów (np. co się tyczy chronologii najstarszych ośrodków grodowych w Polsce). Trudno tu się rozwodzić o nowych, niekiedy rzeczywiście rewelacyjnych metodach postępowania badawczego rozwijanych w archeologii, wspomnę jedynie o chyba najbardziej znanych: metodzie węgla radioaktywnego C14, metodzie dendrologicznej (badanie sekwencji słojujów

¹¹ Warto odnotować zastosowanie metod archeologicznych w badaniach np. pól bitewnych, pozostałości nazistowskich obozów zagłady, miejsc pochówku ofiar katyńskich czy miejsca katastrofy polskiego samolotu pod Smoleńskiem.

drzewnych) – obie służą do określania chronologii bezwzględnej obiektów i zabytków, o najnowszej i rokującej duże nadzieje metodzie badania dawnych zapraw budowlanych, czy metodzie palinologicznej – badania pyłków roślinnych w celu określenia zasięgu występowania na danym terenie poszczególnych gatunków roślin i pośrednio – zasięgu i charakteru osadnictwa ludzkiego.

Z archeologią wiąże się wiele nauk i dyscyplin współpracujących, częściowo posiadających własny status badawczy. Należy do nich zwłaszcza antropologia, badająca m.in. pozyskiwane w trakcie eksploracji archeologicznej pozostałości ciała ludzkiego. Najczęściej, rzecz jasna, są to szczątki tkanki kostnej, ale w sprzyjających warunkach mogą to być nawet całe ciała ludzkie (mumie lub znalezione w konserwującym środowisku bagiennym). Dzięki antropologii możemy się dowiedzieć m.in. o strukturze danej grupy społecznej, średnim wieku, umieralności, składzie rasowym, powiązaniach rodzinnych (badania DNA). Nieco podobnie przedstawia się sprawa z takimi naukami jak paleobiologia (paleobotanika, paleozoologia), paleoklimatologia czy paleoekologia. W interpretacji źródeł archeologicznych pomagają także wiedza metalurgiczna oraz geologia i gleboznawstwo.

Mniej oczywiste dla laika jest zapewne stwierdzenie, że także język może być źródłem historycznym. Lingwistyka (językoznawstwo) porównawcza bada pokrewieństwa i różnice pomiędzy różnymi żywymi i wymarłymi (o ile pozostawiły wyraźne ślady źródłowe) językami, co może dostarczyć cennych informacji nawet o bardzo odległych w czasie zjawiskach i przemianach językowych (a pośrednio i społecznych). Bodaj najłatwiej uchwytnie jest zapewne historyczne zastosowanie językoznawstwa w dziedzinie zwanej onomastyką, czyli nauką o nazwach własnych – osób (antroponimia), miejscowości (toponimia), wód (hydronimia) itd. Nazwy własne, zwłaszcza wielkich obiektów geograficznych, takich jak pasma górskie, duże rzeki, mają bowiem na ogół dużą odporność na zmiany, co oznacza, że często są one jak gdyby skamieliną, pamiątką po czasach bardzo odległych. Wreszcie należy wspomnieć o źródłach etnograficznych, przez pojęcie którego rozumie się wszelkie pozostałości dawnych układów i stosunków społecznych w żywej kulturze dnia dzisiejszego lub przynajmniej „wczorajszego” – o ile zostały one zarejestrowane i udokumentowane przez etnografów.

4. Gdy wreszcie historykowi brakuje lub niedostaje jakichkolwiek bezpośrednich informacji, powinien spróbować zastosować (tam gdzie to jest możliwe i zawsze z odpowiednią ostrożnością) metody wnioskowania pośredniego. Chodzi zwłaszcza o metodę porównawczą (komparatystykę) i retrogresję. Tę pierwszą stosuje się wtedy, gdy o przedmiocie nieznanym (np. dziejach ziem polskich przed Mieszkiem I) próbuje się wnioskować na podstawie lepiej znanych współczesnych (lub przesuniętych w czasie) stosunków na innych terenach (np. w naszym przypadku współczesnych – czeskich, wcześniejszych – saskich czy późniejszych – litewskich). Nietrudno bowiem zauważyć, że w rozwoju dziejowym różnych społeczności występują zjawiska paralelne, choć niekiedy przesunięte w czasie (zjawisko asynchronizmu rozwojowego). Metoda retrospektywna natomiast polega

na wnioskowaniu ze stanu późniejszego (na ogół lepiej znanego) o zjawiskach i procesach wcześniejszych. Rzecz jasna, stopień niezawodności obu wspomnianych metod bywa różny.

5. Wracając zaś na najbliższy historykowi grunt źródeł pisanych, szczególnie dobitnie należy zaakcentować potrzebę nowoczesnej, pogłębionej ich interpretacji. Zagadnienia tego już dotknęliśmy przy okazji omawiania dwoistej wymowy źródła historiograficznego na przykładzie kroniki Wincentego Kadłubka. Temat jest na tyle pojemny, że wymagałby obszernego wywodu, więc jedynie wymienię tutaj niektóre nowsze kierunki badań mediewistycznych (niektóre z nich, rzecz jasna, nie ograniczają się do mediewistyki). Należy tu z pewnością prosopografia, czyli nauka o konkretnych osobach potwierdzonych źródłowo, nie tylko tych „wybitnych”, i o różnego rodzaju uchwytnych źródłowo więziach społecznych. Prosopografia, mówiąc krótko, może w sprzyjających warunkach uczynić średniowiecze nieco mniej anonimowym. Ważne miejsce w mediewistyce uzyskuje rozpoznanie i badanie pozawerbalnych środków komunikowania się, w społecznościach archaicznych, nieposługujących się pismem, odgrywających bez wątpienia znacznie większą rolę niż obecnie. Chodzi tu o gesty, zachowania, rytuały (np. dlaczego źródła tak często wspominają o płaczu osób działających, niekiedy w dla nas niezupełnie zrozumiałych okolicznościach?). Nauka coraz uporczywiej próbuje wniknąć w świadomość, ba! nawet podświadomość ludzi średniowiecza, badając takie długo niedostrzegane lub niedoceniane zjawiska jak: miłość i seksualność, nienawiść i empatia, stosunek do dzieci, religijność, zdrowie i choroba, umieranie i śmierć, lęki i nadzieje, radość, ból i szczęście, praca i świętowanie, komunikacja międzyludzka, obcość i swojskość, ciekawość świata, stosunek do przyrody, odczuwanie przestrzeni i czasu. Oczywiście, warunkiem sensownego prowadzenia tego rodzaju badań jest istnienie odpowiednich źródeł, wśród których szczególnie ważne wydają się źródła o charakterze wybitnie subiektywnym (tzw. dokumenty „ego”, np. autobiografia).

6. Wspominaliśmy już o trapiących historyka „społecznych” ograniczeniach źródeł (dominacja autorów duchownych i treści religijnych, perspektywa „odgórna”, quasi-monopol męski). Czy można próbować ograniczenia te przynajmniej częściowo przezwyciężyć? Rozpatrzmy to na jednym przykładzie.

Problem można sprowadzić do następującego pytania: czy istnieją takie kategorie źródeł, które, chociaż wytworzone „elitarnie”, to znaczy przez autorów należących do elit społecznych lub pracujących na ich zlecenie, a zatem odzwierciedlające przede wszystkim świat działań, dążeń i wyobrażeń owych elit, dają mimo wszystko historykowi szanse „podpatrzenia” i wniknięcia w świat poza elitami, czyli szerokich kręgów społecznych, pozostających na ogół w cieniu „typowych” źródeł w rodzaju kronik czy uczonych traktatów teologicznych. Otóż wydaje się, że do takich bardziej „demokratycznych” kategorii źródeł, mimo ich arystokratycznej proveniencji, należą na przykład: homiletyka (kaznodziejstwo, zbiory kazań), hagiografia (zwłaszcza wspomniane już *miracula* – opisy cudów),

penitencjały (księgi pokutne, czyli swoiste „ściągawki” dla spowiedników, określające jakość i wysokość kar pokutnych dla poszczególnych kategorii grzechów), „sprawozdania” z wędrówek po zaświatach (jako efektywny sposób zawracania grzeszników ze złej drogi poprzez opis mąk piekielnych, rzadziej – radości zbawionych), piśmiennictwo typu encyklopedycznego (popularyzatorskiego), wreszcie – freski w kościołach – pogładowe lekcje religijne, wspomagające słowo mówione z ambon. Ponieważ wymienione typy piśmiennictwa z natury rzeczy miały (a przynajmniej powinny mieć) jak najszerszy krąg odbiorców, musiały operować argumentacją i poruszać się w świecie pojęć właściwych nie elitom, lecz właśnie zwykłym, wcale lub słabo wykształconym ludziom i dlatego świat ten w lepszy lub gorszy sposób odzwierciedlają.

HISTORIA – WIELKA TŁUMACZKA

Po tej stosunkowo obszernej, ale – rzecz jasna – i tak fragmentarycznej wyprawie w dziedzinę zainteresowań mediewistów, dzielących wiele problemów i dylematów z innymi działami nauki historii (nie mówiąc już o tym, że na ogół uznaje się szczególną rolę mediewistyki w wypracowywaniu subtelnych metod ogólnej heurystyki historycznej), wracamy do uwag bardziej ogólnych. Jeszcze w 1968 r. jeden z twórców nowoczesnej metodologii historii Jerzy Topolski pisał w „ostatnim słowie” swojego przełomowego dzieła¹²:

„Coraz pilniejsza okazuje się potrzeba rozwijania historii teoretycznej. Nie oznacza to, oczywiście, zaniechania dotychczasowej praktyki badawczej. Nie. Potrzebna jest tylko specjalizacja teoretyczna. Muszą się znaleźć historycy, których głównym zadaniem będzie nie narracja faktograficzna, lecz narracja podporządkowana tropieniu prawidłowości, budowaniu konstrukcji teoretycznych, odkrywaniu struktur ludzkiego działania i formułowaniu praw. Obok nich działać muszą historycy dbający o budowanie powiązanego wewnątrznie, również nie oderwanego od inspiracji teoretycznej, obrazu dziejów. Historia teoretyczna miałaby być po prostu b a r d z i e j teoretyczną. Może inne będą drogi rozwojowe historii. W każdym razie zadania są wielkie. Wobec nich nie może nie zabić żywiej serce historyka”.

Zapewne zabije żywiej także obecnie, po upływie niebawem półwiecza od sformułowania przytoczonych słów wielkiego poznańskiego historyka. Przepowiednia Topolskiego ziściła się w całej rozciągłości. Znalazła się, także w naszym kraju, znaczna liczba historyków zajmujących się, tak jak to świetnie czynił Jerzy Topolski, zarówno historiografią „tradycyjną”, jak również teoretycznymi podstawami nauki historycznej, a także „zawodowi metodolodzy” – uczeni poświęcający się wyłącznie tej drugiej dziedzinie. Można mieć wątpliwości, czy takie

¹² Cytuje za wydaniem II: J. Topolski, *Metodologia historii*, Warszawa 1973, s. 595.

rozejście się teorii i praktyki historycznej jest dla nauki korzystne, ale nie chciałbym rozwódzić się nad tym zagadnieniem.

„Po owocach ich ocenimy” – maksyma ta ma zastosowanie także w obrębie historiografii „tradycyjnej”. Historyk od dość dawna ma do dyspozycji różnorakie narzędzia pracy, o jakich nawet nie mogli marzyć nasi naukowcy „ojcowie”. Oswald Balzer, Kazimierz Tymieniecki, Stefan Kieniewicz, Henryk Łowmiański, Włodzimierz Dworzaczek, jeszcze Gerard Labuda czy Antoni Czubiński pracowali indywidualnie, mozolnie studiując źródła, całe życie notując, pisząc ręcznie, później na maszynie, ręcznie poprawiając maszynopisy itd. Kto z historyków naszych czasów chciałby i potrafiłby pracować w ten sposób? A pomimo wszelkich technicznych i systemowych ułatwień, jawi się niepokojące pytanie: gdzie są wielkie, epokowe rezultaty tych nowoczesnych badań, odpowiedniki *Genealogii Piastów*, czy *Początków Polski*? Każą na siebie czekać, a w praktyce można zaobserwować zjawisko ucieczki historyków od podejmowania tematów wielkich, podstawowych, w stronę przyczynkarstwa czy zagadnień może nawet nie bez znaczenia, ale jednak pozostających poza głównym nurtem historii i „bezpiecznych” (choć niekiedy pracochłonnych) oraz biografistyki. Niekiedy zacierają się granice pomiędzy historiografią a publicystyką historyczną.

Można odnieść wrażenie, że wskazówki i prognozy metodologów, często bez wątplenia szczytne, godne uwagi i zasługujące na przekucie w praktykę, niekiedy mijają się z celem bądź są praktycznie nie do zrealizowania. Po pierwsze wtedy, gdy wyważają drzwi już dawno otwarte, mam na myśli m.in. postulaty włączenia w obręb badań różnych aspektów dawnej codzienności, mentalności naszych przodków, sfery życia emocjonalnego i psychicznego, pochylenia się nad interesującymi, a zarazem dobrze oświetlonymi źródłowo przypadkami poszczególnych losów ludzkich („mikrohistorie”)¹³, przekonania o zasadniczej jedności procesu historycznego począwszy od wyłonienia się człowieka spośród Naczelnych, przyrodniczych uwarunkowań ludzkiej historii. Cennym jest postulat zmiany nastawienia historyków do przeszłości w tym sensie, że oprócz „tradycyjnego” aspektu agonistycznego, jednostronnej koncentracji na obcości, nieufności, wrogości, zdradach i wojnach, powinno się w większym stopniu uwzględniać elementy empatii, przyjaźni, miłości i współistnienia. W jakimś stopniu przynajmniej część tych postulatów jest realizowana, rzecz w tym, że historyk, zależny od będącego do jego dyspozycji zasobu źródeł, siłą rzeczy musi ulegać optyce źródeł, nie zawierając im jednak bezkrytycznie.

„[D]zisiejsza humanistyka jest częścią procesu zmierzającego do zbudowania holistycznej, inkluzywnej, integrującej i komplementarnej wiedzy, która połączyłaby nauki humanistyczne i przyrodnicze, a także włączyłaby w swoje ramy wiedzę tubylcze. Co więcej – i jest to chyba najbardziej radykalna idea – człowiek nie jest jej jedynym autorem. Wiedza ta ma charakter

¹³ Zob. E. Domańska, *Mikrohistorie. Spotkania w międzyświatach*, Poznań 1999, II wyd. 2005.

transformujący i emancypacyjny, a także wizjonerski. W badaniach przeszłości proces ten ujawnia się w wysiłkach zbudowania wiedzy o przeszłości, w której nie ma uprzywilejowanych centrów geograficznych jej tworzenia oferowanego dotychczas przez Europę ani uprzywilejowanych podejść badawczych, kierujących się wcześniejszymi ideami racjonalnej naukowości czy tradycyjnie rozumianego obiektywizmu¹⁴.

Wobec takiej wizji ponownie nie mogłoby nie zabić żywiej serce historyka, gdyby nie dwie wątpliwości: „człowiek nie jest jej jedynym autorem” i „ani uprzywilejowanych podejść badawczych, kierujących się wcześniejszymi ideami racjonalnej naukowości”. Pierwsze stwierdzenie wydaje się raczej pustą deklaracją i przekonania tego nie zmieniają podane przez Domańską w przypisie 142 przykłady „współautorstwa” szympanów. Drugie zaś (jak już o tym była wyżej mowa) jest niebezpieczne i może doprowadzić do kompromitacji nauki historycznej. Skoro została ona, czy ma zostać, uwolniona od „nacjonalistycznego”, czy „patriotycznego” serwitutu, np. wyjaśniania genezy i istoty własnej grupy społecznej (np. narodu czy państwa), skoro miałyby zostać pozbawiona najistotniejszego – jak by się mogło wydawać – atutu, jakim jest naukowy charakter dochodzenia do prawdy, skoro nawet samo pojęcie prawdy uległo erozji, to po co właściwie komu historia? Dlaczego społeczeństwo ma ponosić niemałe w końcu koszty? Nie brak w końcu wręcz poglądów o szkodliwości historii, zapatrzenia się w przeszłość, podczas gdy wszystkie oczy i ręce powinny być zwrócone ku przyszłości. Przecież historia podobno nikogo jeszcze niczego nie nauczyła...

Można sobie oczywiście życzyć, by roztoczona przez Ewę Domańską¹⁵ wizja

„historii otwierającej różne wizje przyszłości [...], odbuduje poczucie bezpieczeństwa w świecie i wspiera więzi międzyludzkie i międzygatunkowe, zaufanie i szacunek do drugiego człowieka, innych form życia i sacrum oraz idee życia wspólnotowego rozumianego w kategoriach zbiorowości ludzkich i nie-ludzkich podmiotów (czy person) [...] W obecnej sytuacji społeczno-polityczno-gospodarczej humanistów nie stać po prostu na obezwładniający katastrofizm i deprecjonującą negatywność”.

stała się czymś w rodzaju drogowskazu dla humanistów, a więc i historyków. Cel wprawdzie wydaje się odległy, może utopijny, ale z pewnością warto nie tracić go z oczu.

Może jednak warto na zakończenie przywołać słowa pięknej „ody do historii” wybitnego przedstawiciela warszawskiej szkoły historycznej, Witolda Kuli:

„Nie chcę historii-ucieczki, jakąkolwiek piękną krainą by była. Pisał Petrarca w apostrofie do Liwiusza: »Pora jest [...] bym złożył podziękowanie za wiele rzeczy, przede wszystkim zaś za to, że dając mi zapomnienie terażniejszości przenosisz mnie nieraz w szczęśliwsze czasy. Czytając Cię, wydaje mi się nieraz, że żyję z Korneliuszami, Scypionami, Fabrycjuszami, Katonami i Kamilusami, a nie z tymi [...] wśród których urodziłem się pod jakąś nieszczęśliwą gwiazdą«. Nie,

¹⁴ E. Domańska, *Wiedza o przeszłości...*, s. 268-269.

¹⁵ *Op. cit.*, s. 271.

zdecydowanie nie chcę takiej historii. Przeciwnie, chcę historii zaangażowanej w spory i walki dnia dzisiejszego.

Nie chcę historii uważającej się za sąd apelacyjny wyższej instancji. *Das Weltgeschichte ist das Weltgericht* – pisał Schiller. Samozwańczy sędziowie – sami często drżą przed wyrokiem, jaki na nich z kolei wyda historia. »Niewolnicy 'postępu' – pisze o nich Czesław Miłosz – drżąc przed sądem historii, uczynili z niego najwyższą instancję moralną i etyczną. Wspinają się na palce, żeby zaglądnąć w jutro, choć wzrost ich nigdy nie wystarcza i przyszłość rozdzieli swoje dobre i złe noty zupełnie inaczej niż oczekują«. Nie, zdecydowanie, nie chcę historii zbudowanej na wzór sądu apelacyjnego. Chcę historii, która stara się rozumieć, nie zaś sądzić.

Nie chcę historii, której celem jest leczenie frustracji narodowych. Mówi Monteskiusz: »Być zawsze za prawdą, nawet w sprawach swojej ojczyzny. Każdy obywatel jest obowiązany umrzeć za ojczyznę – nikt nie jest obowiązany, by dla niej kłamać«. Historia nigdy nie wyleczy żadnego narodu z frustracji. Wyleczyć z niej może jedynie dzisiejsza praca i jutrzejsze jej wyniki. [...] Nie, nie chcę historii – plasterka na obolałe i ropiejące frustracje narodowe.

Chcę historii – wielkiej tłumaczki [...] Historia powinna być tłumaczem, który przekłada wartości innych cywilizacji na nasz język. [...] Historyk czyni społeczeństwo świadomym swej własnej indywidualności i jednocześnie czyni tę indywidualność zrozumiałą dla innych. Zrozumieć innych – to zadanie, które sobie winien postawić historyk.

Niełatwo o trudniejsze. Trudno o piękniejsze”¹⁶.

Prof. zw., dr hab. Jerzy Strzelczyk, emeryt UAM (dorotagata@op.pl)

Słowa kluczowe: historiografia, metodologia, mediewistyka, nowe tendencje

Keywords: historiography, methodology, medieval studies, new trends

ABSTRACT

The science of history, not only in Poland, faces serious dilemmas at the beginning of the 21st century, there being no indications that, similarly to its past status especially in the 19th century, it can aspire to the role of one of the major factors of social consciousness. Following the liberation (by far inconsistent and often mistrusted) of history as a science from rendering undue services of a non-pertinent nature it experienced and still does, erosive influences exerted by numerous theoretical trends and currents that put into question the validity and genuineness of the scientific character of history. Enormous progress in the field of heuristics and research organization (the latter disputable at times) does not always yield the expected fruits. The essay focuses on the “external” conditions and manifestations of the science of history in Poland, both of a positive and negative nature, only briefly touching upon some current research proposals. Then, on the example of medieval studies the author presents the current problems and achievements of this science, to show among others that many of the postulates and expectations of contemporary methodology and theory of history are actually realized in medieval studies. The concluding part brings reflections of a more general nature on the issue of contemporary place and tasks of the science of history.

¹⁶ Cytuję za: R. Jarocki, *Widzieć jasno bez zachwyty*, Warszawa 1982, s. 46-47. Spację w cytacie – J. S.



NASZE WYDAWNICTWA

INSTYTUT ZACHODNI

ul. Mostowa 27, 61-854 Poznań

tel. +61 852 28 54

fax +61 852 49 05

e-mail: wydawnictwo@iz.poznan.pl

SPÓŁECZNA GRANICA. POSTAWY MŁODZIEŻY ZACHODNIEGO POGRANICZA POLSKI

Marcin Tujdowski

Seria: Ziemie Zachodnie – Studia i materiały nr 27,
streszczenie w j. angielskim

ISBN 978-83-61736-48-6

Poznań 2014, 251 ss.

Pogranicze polsko-niemieckie od ponad dwóch dekad, ze względu na dokonujące się tam przemiany społeczne i polityczne, podlega wieloaspektowej eksploracji badawczej. W tym nurcie mieści się praca Marcina Tujdowskiego, który podjął wysiłek analizy partycypacji mieszkańców tego obszaru w tych przemianach. Zapoczątkowała je transformacja ustrojowa w obu krajach w latach 1989-1990, a przyspieszyło przystąpienie Polski do Unii Europejskiej i strefy Schengen. W zmianie sytuacji politycznej dostrzegano szansę na rozwój współpracy transgranicznej, jednak rzeczywistość zweryfikowała takie myślenie. Okazało się, że mimo bliskości terytorialnej obszary po obu stronach granicy nadal stanowią dwa odrębne pogranicza – polskie i niemieckie. Mimo intensyfikacji kontaktów wskutek zniesienia reżimu granicznego nadal są to dwie różne wspólnoty, podzielone barierą językową, mentalną i ekonomiczną, które okazały się silniejsze niż bariera graniczna. Zmiany tego stanu rzeczy następują powoli, np. w wyniku migracji Polaków do przygranicznych regionów Niemiec.

Przeszkodą w pogłębieniu współpracy Polski i Niemiec na obszarze przygranicznym jest też różnica interesów i odmienne postrzeganie pogranicza, a także peryferyjność tego obszaru po stronie niemieckiej, charakteryzująca się takimi zjawiskami, jak np. zapaść demograficzna, wyludnianie się miast. Po polskiej stronie granicy opinie młodzieży wskazują, że nie zamierza ona wiązać się na trwałe ze swoimi lokalnymi ojczyznami, postrzegając je jako niezbyt atrakcyjne miejsca do życia. Z umiarkowanym entuzjazmem podchodzi też do kwestii współpracy transgranicznej. Wiele wskazuje więc na to, że po polskiej stronie granicy pojawiają się wkrótce podobne problemy, jak w sąsiednim kraju. Trudno jednak jednoznacznie określić, czy współpraca między Polską a Niemcami pozwoli uwzględnić specyfikę tego obszaru, tak by można z większym optymizmem patrzeć na jego dalsze perspektywy rozwoju.